NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok VIII. Kraków, 9 grudnia 1911. Nr. 49.

Porażka partyi wojennej w Austryi.

(Treść na str. 2)



Nr. 49. „Nowości illustrowanych" zawiera: Z pola walki. — Wojna w powietrzu. — „Votes for women." — Teatr maryonetek w pracowni. — Warszawa w powodzi jubileuszów. — Nowi posłowie. — Z niwy społecznej. — Jubileusz zasłużonego pedagoga. — Odznaczenie strażaka. — Jeden z ostatnich.

Porażka partyi wojennej w Austryi.

(Do illustracyi tytułowej).

Europa znajduje się na wulkanie...

Niedawne sensacyjne rewelacye o wojnie angielsko niemieckiej, która „wisiała już na włosku“, wykazały, jak kruchą jest podstawa pokoju europejskiego — pomimo najbardziej „pokojowych“ zape-



Porażka partyi wojennej w Austryi: Dymisyonowany szef sztabu jeneralnego bar. Conrad v. Hoetzendorf.

wnień dyplomacyi... O tej grożącej i w danej chwili, jak się zdawało, nieuniknionej wojnie — opinia publiczna dowiedziała się dopiero *post factum* — gdy bezpośrednie niebezpieczeństwo wybuchu, spowodowane sprawą marokkańską, zostało zażegnane.

Obecnie niespodziana dymisya szefa sztabu jeneralnego jenerała Conrada v. Hoetzendorfa — odsłania zażegnane na razie niebezpieczeństwo nowej wojny — austryacko włoskiej. Pogłoski o komplikacyach z powodu wyprawy włoskiej do Trypolisu i zaostrzeniu stosunków pomiędzy Austryą a Włochami nie były bynajmniej bezzasadne. W Austryi, co było zresztą publiczną tajemnicą, w wyższych sferach wojskowych istnieje silna partya wojenna, mająca nawet poparcie w pewnych kołach dworskich. Partya ta, której widomą głową był właśnie były szef sztabu jeneralnego i upatrzony wódz armii austryackiej, bar. Conrad v. Hoetzendorf, wcale niedwuznacznie parła do wojny z Włochami... Pomimo najformalniejszego w świecie sojuszu z Włochami Austrya w ostatnim czasie wzmocniła swe załogi na granicy południowej, ale Conrad v. Hoetzendorf, jako szef sztabu, nie uważał jeszcze tych zarządzeń za wystarczające i był za dalszemi wzmocnieniami na granicy austryacko-włoskiej... Na tem tle powstał też zatarg pomiędzy szefem sztabu, zdradzającym nieufność i agresywne usposobienie wobec Włoch, a ministrem spraw zagranicznych, hr. Aehrenthalem, stojącym na straży „trójprzymierza“.

Po wybuchu wojny włosko tureckiej sytuacya stawała się jeszcze drażliwszą. Dalsze zbrojenia i gromadzenie wojska na granicy Włoch — gdy państwo to zostało zaabsorbowane trudną wojną afrykańską — stawiały w dziwnem świetle sojusz austryacko-włoski. To też antagonizm pomiędzy hr. Aehrenthalem, który stał na stanowisku przymierza z Włochami, a jen. Hoetzendorffem, który znowu wojnę z tem państwem uważał za nieuniknioną, musiał doprowadzić do ostatecznego starcia prądów pokojowych z partyą wojenną w Austryi.

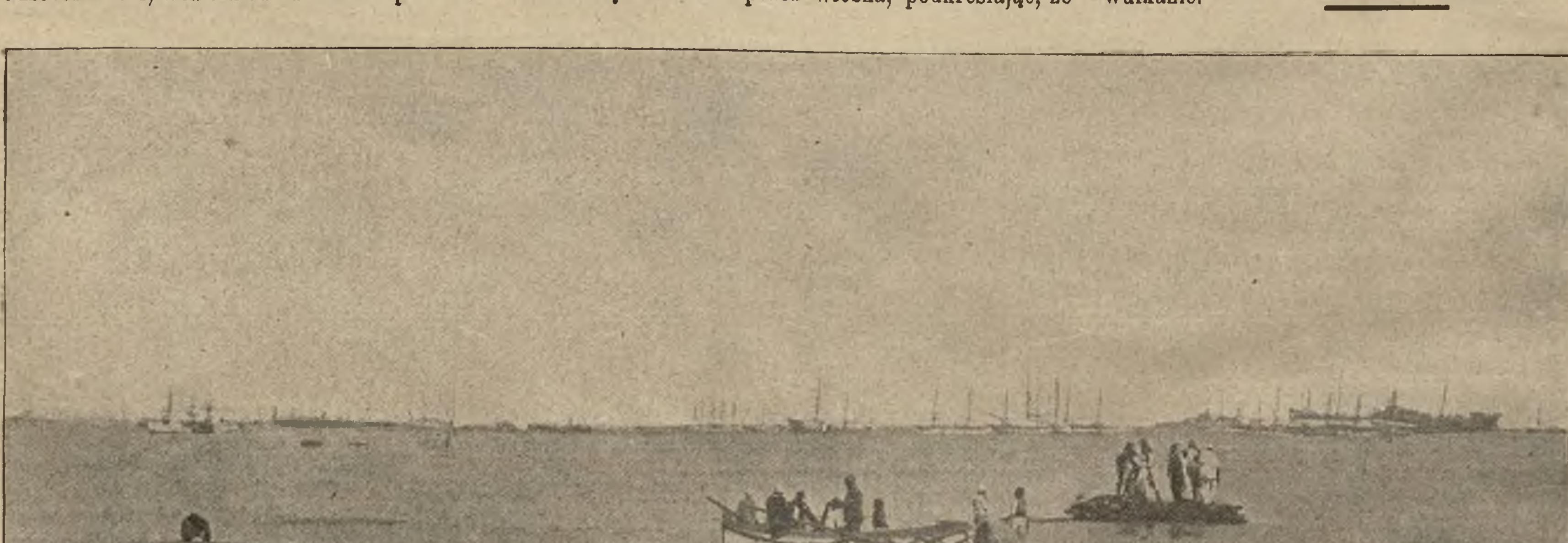
Niespodziana dymisya szefa sztabu jeneralnego, ze względu na okoliczności, w jakich nastąpiła, jest też wypadkiem niezmiernej doniosłości politycznej, gdyż świadczy, że w starciu tem partya wojenna poniosła porażkę. Na szali przeważyła niewątpliwie wola sędziwego cesarza Franciszka Józefa, który nie chce wojny i który, przyjmując dymisyę bar. Hoetzendorfa, w stanowczy sposób podkreślił pokojowy kierunek polityki austryackiej.



Wojna w powietrzu: Włoscy oficerowie-awiatorzy oglądają nowy, ulepszony pocisk do rzucania z aeroplanów.

Grożące więc widmo nowych zawikłań wojennych zostało na razie zażegnane. Tendencye bowiem pokojowe w polityce austryackiej zwyciężyły, co z radością stwierdza prasa włoska, podkreślając, że bar. Conrad v. Hoetzendorf „padł na ołtarzu trójprzymierza“...

Czy jednak na długo? Trudno dziś to przesądzać... Faktem jest bowiem tylko, stwierdzonym zarówno przez ostatnie rewelacye o grożącej wojnie niemiecko angielskiej, jak przez obecną porażkę partyi wojennej w Austryi, że — bądź co bądź — pokój europejski utrzymuje się tylko dzięki wysiłkom dyplomacyi, a Europa istotnie znajduje się na wulkanie.



Z pola walki: Na wybrzeżu morskiem w Trypolisie.

Wojna w powietrzu.

Użycie przez armię włoską aeroplanów do celów wojennych, o czem pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, zachęciło również i Turcyę do pozyskania tych „powietrznych okrętów“ i do użycia ich w walce z najazdem włoskim w Trypolitanii. Rząd turecki miał już nabyć kilka aeroplanów i czyni starania o nowe aparaty we Francyi. Świadczy to, że aeroplany, po raz pierwszy zastosowane przez Włochów w toczącej się wojnie, okazały się istotnie groźnemi dla nieprzyjacielskiej armii, skoro Turcya z takim pośpiechem i nakładem kosztów stara się o własną flotę napowietrzną. Jeśli starania Turcyi uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem i uda jej się zaopatrzyć swe wojska trypolitańskie w aeroplany, w obecnej wojnie włosko-tureckiej świat ujrzy po raz pierwszy walkę w powietrzu — pomiędzy szybującymi w przestworzach aeroplanami nieprzyjacielskimi.

Geniusz ludzki, który takim wysiłkiem pracy i ofiar zdołał wreszcie urzeczywistnić długo niezisz-czalne marzenia „sztucznego ptaka“, staje się więc nowym środkiem do spotęgowania krwawego żniwa wojen i jej okrucieństw.

O ile armia turecka zdoła w obecnej wojnie iść z „postępem czasu“ i spożytkować w walkach trypolitańskich ten najdonioślejszy niewątpliwie wynalazek XX. wieku, najbliższa przyszłość okaże. Nie ulega jednak wątpliwości, że nie dorówna na tym punkcie armii włoskiej, która, jak się okazało, już zawczasu wprowadziła aeroplany do swego arsenału bojowego i posiada wyszkolonych w tym kierunku specyalistów. Nie ustają oni i teraz w pracy, aby korzystając z doświadczeń wojny, spotęgować bojowe znaczenie aeroplanów, które służą nie tylko do rekognoskowania, ale i do rzucania z góry wybuchowych pocisków na armię nieprzyjacielską. Włosi w obecnej wojnie już kilkakrotnie próbowali z powodzeniem takiego „bombardowania“ z aeroplanu. Obecnie skonstruowano w tym celu nowy, ulepszony pocisk.

Illustracya nasza przedstawia właśnie włoskich oficerów-awiatorów, którzy oglądają z zajęciem tę nową, jeszcze straszniejszą w skutkach bombę aeroplanową...

Wojna w powietrzu przestała już być fantazyą...



Z pola walki: Główna ulica Trypolisu w czasie powodzi.



Z pola walki: Miniaturowy wodospad na ulicy podczas powodzi w Trypolisie.

Z pola walki.

Wiadomości z Trypolisu brzmią w dalszym ciągu sprzecznie i zależnie od tego, czy nadchodzą via Rzym, czy też Konstantynopol, obwieszczają zwycięstwa włoskie lub tureckie. Zresztą oficyalnych raportów włoskich o „wielkich stratach“ armii nieprzyjacielskiej nikt już chyba nie bierze na seryo, lecz z drugiej strony i doniesienia tureckie nacechowane są również zbytnim optymizmem. Z chaosu tych sprzecznych wiadomości można jednak ustalić fakt, że Włosi, wyparci z dalszych pozycyi, ufortyfikowali się w miastach portowych, gdzie odpierają z większem lub mniejszem powodzeniem ataki wojsk turecko arabskich, ale o posuwaniu się w głąb kraju nie mogą nawet marzyć. Położenie więc armii włoskiej, która jest faktycznie obleganą przez regularne wojska tureckie i wzrastające wciąż zastępy Arabów, nie jest zbyt świetne i nie wróży bynajmniej rychłego kresu wyprawy trypolitańskiej...

Oprócz wojsk nieprzyjacielskich, które codziennie nękają pozycye włoskie niespodziewanymi atakami i podjazdami, położenie Włochów utrudnia szerząca się w Trypolisie cholera i katastrofy żywiołowe, mianowicie spowodowana porą deszczową powódź, która zniszczyła cały szereg fortyfikacyi włoskich a i w samem mieście wyrządziła olbrzymie szkody, zamieniając ulice w rwące potoki.

Sytuacya Włochów w Trypolisie nie jest więc zbyt wesołą. Z jednej strony wystawieni są na ciągłe ataki armii turecko-arabskiej, a z drugiej w samem mieście Trypolisie, gdzie dotychczas zdołali utrzymać swe niepodzielne panowanie — muszą walczyć z... cholerą, powodzią i zasadzkami tubylczej ludności arabskiej... Wprawdzie po krwawych represyach i masowych egzekucyach, Arabowie, zamieszkali w zajętych przez armię włoską miastach, zachowują się spokojnie, ale niewątpliwie skorzystają z każdej sposobności, aby w stosownej chwili uderzyć na swych wrogów... Wątpliwą jest też rzeczą, czy Włochom udało się w rzeczywistości rozbroić zamieszkałych w Trypolisie Arabów, którzy, jak się okazało, mieli



Z pola walki: Arabowie wybierają w nocy broń z ukrytego arsenału w oazie trypolitańskiej.

w swych domach całe arsenały dobrze ukrytej broni, rozdawanej w razie potrzeby pokryjomu — pod osłoną nocy.

Włochy zdają sobie sprawę z trudności, jakie przedstawia faktyczne zdobycze Trypolitanii i dlatego pragną przerzucić teren wojny na kontynent europejski... Ale tu właśnie stają w poprzek inne mocarstwa... To też dotychczasowe groźby Włoch, iż rozpoczną bombardowanie Salonik i innych portów tureckich, jak również blokadę Dardanelów — spełzły na niczem...

Dyplomacya europejska postawiła swoje veto i rzuciła Włochy na pastwę... Trypolisu...

„Votes for women!"

W żadnem z państw europejskich nie walczą kobiety tak zawzięcie o swe prawa obywatelskie, jak w Anglii, gdzie niema prawie miesiąca, by nie przyszło do walnej bitwy, stoczonej na jakimś placu publicznym pomiędzy londyńską policyą a wojowniczemi amazonkami. *Votes for women!* to hasło, które rozbrzmiewa coraz częściej na ulicach stolicy Anglii, a mają przed niem respekt nawet ministrowie. Niejeden z nich poczuł już na swej twarzy pazurki rodaczek, energiczne niewiasty potrafiły wytrącić z równowagi nawet tak spokojnych mężów, jak londyńscy stróże bezpieczeństwa publicznego.

Rozstrzygającą bitwę, która niestety wypadła na ich niekorzyść, stoczono znowu w dniu 21 listopada wieczorem. Główne zastępy zebrały się w wielkiej sali Caxton Hall w pobliżu parlamentu, gdzie radzono zawzięcie i rzucano gromy na cały rodzaj męski, kierowniczki zaś zapowiedziały, że udadzą się w deputacyi do ministrów. Ponieważ wiedziano, że ich tam nie dopuszczą, przygotowały się do awantur.

Nie pozostała w tyle i policya, na miejscu spodziewanego starcia zebrały się całe legiony konstablów i tłumy ciekawej publiczności.

O ósmej wyruszyła deputacya, przyjęta szyderczymi okrzykami publiczności, której już sprzykrzyły się awantury histeryczek. Nie tracąc fantazyi, dążą niewiasty śmiało przez Parliament-Square i natrafiają na kordon policyjny.

Tu przychodzi do starcia, obfitującego w moc komicznych momentów, zwycięstwo pozostaje przy policyi, a ofiarą zirytowanych bojowniczek padają tysiące szyb w pałacach ministeryalnych, urzędach, sklepach, redakcyach i restauracyach...



„Votes for women!": Deputacya londyńskiego „Women's Social and Political Union" przed udaniem się w dniu 21 listopada do parlamentu.



Z pola walki: Ulica w Trypolisie.



Jubileusz zasłużonego pedagoga: Dyrektor gimnazyum jasielskiego Józef Słotwiński w otoczeniu członków grona nauczycielskiego.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

13)

Gdy, po zupełnem obnażeniu kamienia z zieleni i kwiecia, mogłem mu się przyjrzeć, nowa opanowała mnie trwoga. Liczyć on mógł przeszło pięć stóp wysokości, wyobrażał zaś szyję z ludzką głową, wyciosaną w sposób naiwny. Popiersie to przejęło mnie wstrętem. Nie zapomnę do śmierci piekielnego wyrazu tych lic. Była to twarz człowieka, mogącego mieć lat około pięćdziesięciu, rzeźbiona ordynarnie, w stylu przeróżnych plastycznych ozdób i ornamentacyi, jakie widziałem, idąc tutaj, w zrujnowanych starożytnych świątyniach. Ktokolwiek był jej twórcą, musiał chyba być zarazem wrogiem portretowanego. Jeśli dzika nienawiść uwidoczniła się kiedykolwiek w rzeźbie, to niezawodnie w tej, którą miałem przed oczami. W białych źrenicach uwydatnił artysta straszne okrucieństwo. Wszystkie linie oblicza były ohydne, a każde dotknięcie dłuta zdawało się im dodawać jeden rys więcej złośliwej dyabelskości, połączonej z pogardą dla wszelkiego dobra. Słowem, przypuścić było można, że rzeźbiarz w swojem dziele pragnął przedstawić symbol zła, trapiącego ludzkość biedną.

Widok tej twarzy przerażającej, której wstrętną brzydotę w ciągu wielu lat kryły przed światłem dziennem niewinne przeróżne pnącze i powoje, przejął mnie takiem uczuciem odrazy, że przez kilka minut zdecydować się nie mogłem na poruszenie głowy z miejsca. Szyja osadzona była na pewnym rodzaju podstawy, wrytej w ziemię. Podstawa ta stanowiła jedyny piedestał potwora. Zauważyłem, iż siła pojedynczego człowieka wystarczała najzupełniej do strącenia głowy. Jednakże, ulegając przykremu wrażeniu, nie mogłem czas jakiś zdobyć się na czyn tak naturalny i prosty. W końcu jednakże wyciągnąłem ręce i wcale słabem popchnięciem zrzuciłem ją w krzaki.

Dół, na którym spoczywała kolosalna głowa, mógł mieć jakie cztery stopy głębokości. Zwężał się coraz bardziej, w miarę pogłębiania się otworu do dna. Pochyliłem się nad nim i wyciągnąłem... kość udową. Ujęcie jej w dłonie wprawiłoby mnie niezawodnie innym razem w stan groźnego rozstroju, lecz twarz popiersia takiem przepoiła mnie obrzydzeniem, że zahartowane niem nerwy zachowały się obojętnie wobec niemiłego widoku, jakim jest zawsze i wszędzie rozczłonkowany i poniewierający się szkielet człowieka. Zresztą namiętna żądza wykrycia tajemnicy, mającej mnie uczynić posiadaczem niezmiernych bogactw, zawładnęła całą moją istotą do tego stopnia, że bez żalu i wstrętu rozrzucałem na prawo i lewo próchniejące kości.

Było ich w dole bardzo wiele. Już wydobyłem trzecią udową. Tak... a pod nią, na samym spodzie, leżały obok siebie dwie czaszki. Zatem pogrzebano tu dwóch ludzi, chociaż pergamin wspominał tylko o jednym. Nie miałem jednak czasu myśleć o tem. Szukałem przedewszystkiem tylko tajemnicy. W chwili, gdy wyciągałem drugą czaszkę, spostrzegłem pod nią coś błyszczącego. Zanurzyłem rękę i wyjąłem z dołu klamrę złotą.

Składa się ona z dwóch części, przymocowanych do wązkiego, jedwabnego, na wpół zgniłego paska, połączonych w środku założonym za kółko haczykiem. Rozmiary jej wynoszą trzy cale szerokości i dwa długości, a wnętrze pod spodem, bardzo ciekawie rytowane, pokryte jest całe pospolitem i nieksztaltnem pismem.

Dzięki lejkowatemu kształtowi dołu, klamra nie była zgnieciona przez kamienną statuę, która stała na płycie, przesłaniającej górny otwór wydrążenia. Prócz dwu szkietów i klamry nie było nic więcej w dole. Zresztą, poza nią nie szukałem już w nim niczego, wiedziałem bowiem, że dzierżę w ręku tajemnicę Wielkiego rubinu z Ceylonu. Palce drżące z rozkoszą i radością ściskały to, co uważam za bogactwo królewskie. Podróż moja dobiegała końca, a skarb nad skarbami należał do mnie!

Niepomny, że czas leci, a przewodnicy muszą być mocno zaniepokojeni przedłużającą się moją nieobecnością, nie myśląc zresztą o niczem więcej prócz o klamrze złotej, usiadłem nad dołem i wczytywać się zacząłem w to, co było na niej napisane. Napis przebiegał pod spodem klamry z jednego jej końca w drugi. Łatwy był do odczytania, a mieścił w sobie szczegółową informacyę co do poszukiwań, jakie w pewnem miejscu dokonać należy; nie wskazywał jednak, gdzie znajduje się to miejsce. Może obok głowy kamiennej?! Chciałem już powstać i zająć się zbadaniem gruntu w około, gdy nagle przypomniałem sobie pergamin. Wyjąłem go więc z kieszeni i przeczytałem: „Pod nim spoczywa tajemnica Wielkiego rubinu. Wyrażam się błędnie, nie cała bowiem leży pod tym kamieniem, dopełnia jej ryt na kluczu, o którym słyszeć musiałeś. Wszystkie powyższe warunki ostrożności wytworzyłem sam, żeby nikt nie mógł posiąść tajemnicy, prócz jej prawego właściciela".

Równocześnie przypomniałem sobie tekst testamentu, w którym ojciec, pod groźą przekleństwa, nakazywał nie poruszać klucza, dopóki nie powróci i nie przekroczy progu domu w Lantrig ów Trenoweth, który wybierze się w świat szeroki dla szukania skarbu. Z tego wynikało, że rubin nie mógł być zakopany na Wirchu Adama, inaczej bowiem powrót do Anglii dla zdjęcia klucza z belki byłby próżnym i bezcelowym trudem. Wynikało stąd również, że klamra złota miała wartość jedynie dla człowieka, znającego resztę wskazówek mego ojca. Więc chociaż dotąd nie dzierżyłem Wielkiego rubinu w ręku, należał on już tylko do mnie. Zawinąłem klamrę w pergamin, żeby następnie powstać i dogonić wyprawionych przodem przewodników.

W ciągu moich poszukiwań słońce wzbiło się bardzo wysoko i ognistem swem światłem zalało trawnik, na którym siedziałem. W gorączkowem zapamiętaniu się, jakie mną owładnęło, nic nie widziałem i nic nie słyszałem. Nie zauważyłem nawet, że straszliwe gorąco, wywołane promieniami słonecznemi, prostopadle mnie rażącemi, stało się nie do zniesienia. W chwili, gdy zawijałem klamrę w rękopis, czarny jakiś cień padł mi na pergamin, trzymany w ręku.

Podniosłem nieco głowę i ujrzałem Szymona Collivera, stojącego przy mnie.

Trzymał się prosto w pełnem świetle i bacznie mi się przyglądał z szyderczym uśmiechem na purpurowych wargach, które wykrzywiły się jeszcze ironiczniej, gdy oczy moje spotkały z jego wzrokiem.

Od jak dawna tam był, nie mogłem odgadnąć, lecz niespodziane spotkanie w tem miejscu, a zwłaszcza w chwili, gdy zajęty byłem tajemniczą pracą, zmieszało mnie bardzo. Wsunąłem czemprędzej klamrę z pergaminem do kieszeni, zerwałem się na równe nogi i stanąłem przed nim. W tym momencie podejrzenia i przestrogi Sandersona odżyły nagle w moim umyśle.

Kilka minut staliśmy naprzeciw siebie, nie mówiąc i słowa.

Z ust jego nie schodził dziwny uśmiech, a w źrenicach gorzał płomień, którym zdawało się, że chce mnie spalić.

W końcu jednak wybuchnął głośnym chichotem i zawołał, pochylając nieco na bok głowę:

— Czy nie uważasz pan za rzecz stanowczo zabawną, że się tu spotykamy? Co?... Prawdopodobnie ręka przeznaczenia, albo coś do przeznaczenia podobnego sprawia, że schodzimy się często na różnych drogach.

Skinąłem głową.

— Czyż nie jest także rzeczą szczególną, że nam obu równocześnie zachciało się zwiedzić tę górę? Bardzo niewielu Europejczyków wdziera się na nią. Ja podążam właśnie ku szczytowi. A pan?... Już schodzisz... i jak widzę wygodnie z wypoczynkiem... w ciągu którego bawisz się wcale przyjemnie...

Czy ten człowiek żartował ze mnie?

Głos jego był jak zwykle słodki i miły. Nie dźwięczało w nim szyderstwo, chociaż uśmiechał się ironicznie.

— Wirch ten, jak mniemam, zasypany być musi dziełami pogan — ciągnął dalej. — Zdaje się, że jesteś pan na drodze do jakiegoś fortunnego odkrycia. Winszuję, winszuję!... Co to tam leży? Kości szkieletów. Co?... Przypuszczam, panie Trenoweth, że musiałeś wykopać jakiś skarb prawdziwy? A to co znowu? Głowa kamienna. Słowo daję, dziwna miejscowość, w której znajdują się cenne utwory dłuta!... Lecz przyznaj, że odkryte popiersie jest w całem znaczeniu tego wyrazu szkaradne!

Zbliżył się do głowy, leżącej na trawie pod krzakiem. Odwrócona twarzą ku niebu, miała wyraz ohydny.

Podszedł do mnie i rzekł:

— Doprawdy rzecz bardzo ciekawa! Artysta, jaki tę rzeźbił, odtworzył rysy mojej twarzy, co powiem szczerze, było wcale nieuprzejmie z jego strony. Czy pan nie zauważyłeś nadzwyczajnego podobieństwa?

Miał zupełną słuszność.

Szkaradna twarz z kamienia zdawała się wierną kopią twarzy Collivera. Im baczniej się jej przyglądałem, tem bardziej dziwiłem się, że nie spostrzegłem tego odrazu. Rysy w rzeźbie traktował artysta przesadnie, lecz widocznie chodziło mu głównie o uwydatnienie wyrazu okrucieństwa. Wprawdzie nie można było powiedzieć o Colliverze, że jest piękny, dotąd jednak oblicze jego nie wywierało na mnie nieprzyjemnego wrażenia: obecnie zaś odraza i wstręt, uczuwane do twarzy statuy, stały się także jego udziałem.

Oparłem się o jedno z drzew i przesunąłem rękę po czole, jakby dla odpędzenia męczącego snu. Nie był to jednak sen! Gdy Szymon zwrócił się ku mnie, zdawało mi się, że maska — jaką ten człowiek wdziewał na twarz, gdy do mnie przemawiał — zsuwa się nagle i odsłania wszystkie złe myśli, oraz dziką srogość, które widziałem odwzorowane na licu kamiennej głowy.

— Dziwy działy się już na świecie rzeczy bardzo dziwne, nie dziwniejsze jednakże od tej, na które patrzymy — zauważył Colliver tonem łagodnym. — Zdajesz się, panie Trenoweth, zmartwiony, a przecież to ja tylko miałbym prawo do niezadowolenia. Stwierdzić przytem muszę, że zamiłowanie pańskie do starożytności unosi cię nieco za daleko. Sądzę, że nawet ze względu na wiedzę nie dobrze jest wyciągać takie biedne, próchniejące szczątki z ich grobu i wystawiać na działanie podzwrotnikowego słońca.

To mówiąc przyklęknął i rozrzucone kości zaczął zbierać z wielkim szacunkiem i składać na jedną kupkę, poczem wsypał je wszystkie razem do otwartego dołu. Co uczyniwszy, zerwał z trawnika parę pęczków ziół i położył je na kościach, gwiżdżąc przytem nieustannie. Po chwili powstał i znowu przemówił do mnie:

— Wszakże mi przebaczasz, panie Trenoweth? To, co zrobiłem, wygląda na czyn śmieszny, a może nawet niedorzeczny, lecz szczątki tu leżące natchnęły mnie dla nich pewnym rodzajem czci. Twarz kamienna jest wizerunkiem jednego z dwóch tu pogrzebanych ludzi. W takim razie zmarły był do mnie dyablo podobny... choćby tylko w karykaturze. Przebaczam karykaturalność rzeźbiarzowi, bo już dawno nie żyje, gdyby jednak żył, nie darowałbym mu z pewnością... Miejsce, na którem głowa spoczywa, jest tak ustronne, że prawdopodobnie mało kto zauważył, jak jest do mnie podobna... Lecz zapomniałem zapytać, co pana tu sprowadziło?

Milczałem, wpatrując się w jego oczy, o wyrazie równocześnie melancholijnym i srogim.

— Co do mnie — mówił, nie czekając na odpowiedź — zdawało mi się, że coś porusza się w gąszczu, więc przez ciekawość zbliżyłem się, żeby się dowiedzieć, co może dziać się w tem ustroniu. No, i wpadłem na pana. Dziwny kąt! dziwny jakiś świat mi nieznany, a jednak pełen niejasnych wspomnień!... Bardzo być może, że grób, przez pana rozkopany, jest grobem jednego z moich przedhistorycznych przodków, który jak zwierz gonił tu za swem codziennem pożywieniem. Sądząc po tej głowie kamiennej, może pradziad... kto wie?... posiadał już pewne znaczenie społeczne i piastował jakieś dostojeństwo. Poeta mógłby z tego coś wysnuć, zwracając oczy duszy wstecz, z teraźniejszości do przeszłości.

Zastanowił się na moment, a następnie ciągnął dalej:

— A i dla archeologa wszystko, co tu widzimy, jest poniekąd bardzo ciekawe. Nie wiedziałem, że pan poświęcasz się archeologii... Ba! ale spostrzegam z przyjemnością, że musiałeś już odpocząć należycie, więc możesz zajmować się dalszemi badaniami. Co do mnie, wypada mi odejść, a ponieważ mamy zwyczaj spotykać się niespodzianie, więc nie żegnam pana na zawsze, tylko mówię „do widzenia" i ruszam w górę, aby dojść do samego szczytu. Głowę kamienną pozostawiam tu w spokoju... i pan pewno jej nie zabierze, chociaż zmarli, którzy pod nią spoczywali, obejść się prawdopodobnie mogą bez grobowego pomnika. *Addio*, jak mówią Włosi, życzę pomyślnych sukcesów w nowych poszukiwaniach.

Odszedł.

Odchodząc nucił jedną z pieśni, którą często śpiewał na statku w ciągu naszej wspólnej podróży:

Na łąkach kwietnych, zielonych i wśród zieleni drzew,
Chłopcy! na cześć kompana zwiedźmy żałobny śpiew...

Echo śpiewu już cichło, a ja nie poruszyłem się jeszcze, jakby zdrętwiały. W ciągu tego dziwnego spotkania nie otworzyłem ust ani razu. Z trudnością przypominałem sobie co mówił, nie wierząc prawie w rzeczywistość jego nagłego ukazania się tuż przy mnie, lecz otwarty dół, potrząśnięty pękami świeżego ziela, był wymownem świadectwem obecności Collivera. Na myśl o tem wszystkiem, przejął mnie wstręt do miejsca, na którem się znaj-

dowałem; raz jeszcze, cały drżący, spojrzałem na olbrzymią głowę kamienną i wybiegłem z gaju, przekonany, że prędzej czy później bujna roślinność pokryje ją zielenią i zasłoni przed wzrokiem ludzkim.

Na ścieżce spotkałem Piotra i Pawła, poszukujących mnie z malującem się na ich obliczach niepokojem. Usprawiedliwiłem opóźnienie bólem nogi, oświadczając, że pomimo bólu, który mnie na czas dłuższy zmusił do odpoczynku, pragnę jak najspieszniej wracać do Colombo.

O zejściu z góry nie mam nic do nadmienienia, chyba tylko, że chociaż kulałem, wprawiłem w podziw przewodników szybkością z jaką raczej biegłem, niż szedłem. Nawet w lesie upał dokuczał nam straszliwie, o zatrzymaniu się jednak słyszeć nie chciałem, dopóki nie dojdziemy do Ratnapoora. Tam, zamiast udać się, jak poprzednio, kokosową aleją, wsiedliśmy na rzece Kalunganka do łodzi i w niej dopłynęliśmy do Cattura. Stamtąd zaś powędrowaliśmy pieszo wybrzeżem przez Pantura do Colombo.

Cel mojej podróży osiągnięty, więc powinienem czemprędzej wracać do rodzinnego kraju. W chwili jednak, gdy to piszę, czuję się bardzo cierpiący. Po ranie, otrzymanej w Bombaju, nie byłem ani na chwilę wolny od pewnych dolegliwości, połączonych z zawrotami głowy, przypuszczam zatem, że obecnie pod wpływem upału i okropnych wrażeń, doznanych w czasie wycieczki na Wirch Adama, dolegliwości dawniejsze powróciły ze zdwojoną siłą. A może nadzwyczajne znużenie przyczyniło się do wywołania gorączki, oraz osłabienia w całem ciele. Lecz jeśli mam zachorować, muszę wpierw ukryć starannie klamrę złotą, wraz z moim dziennikiem i ojcowskim pergaminem. Wiem, co zrobię, zakopię wszystko w ogrodzie, włożywszy do cynowego pudełka, które otrzymałem od Sandersona... Głowa boli mnie wściekle. Nie mogę pisać dalej...

ROZDZIAŁ XI.

Czwarta i ostatnia część dziennika mego ojca. — Bunt na pokładzie „Fortuny".

19 czerwca. — Czy to nie dziwne, że gdziekolwiek przyjęty jestem życzliwie, wypłacam się gospodarzowi za gościnność kłopotem, jaki mu sprawiam, popadając zaraz w ciężką chorobę? Od chwili, gdy skreśliłem ostatni wiersz w moim dzienniku, leżałem w łóżku, złożony kilkumiesięczną niemocą, nieraz podobno bliski śmierci. Zmęczenie, któremu uległem w ciągu wycieczki w góry, nabawiło mnie silnej gorączki, lecz przemógłbym ją prawdopodobnie, gdyby nie głowa, która — jak mi się zdaje — nie będzie już nigdy w zupełnym porządku. Cios, zadany w Bombaju, zrobił ze mnie istną ruinę. Dwukrotnie, gdy mniemano, że już powracam do zdrowia, szalone w niej bóle, połączone z obłędnemi zawrotami, pozbawiały mnie na dłuższy czas przytomności. Były dnie — twierdzi p. Eversleigh — że wątpił, czy uda się utrzymać mnie przy życiu. Coby się wówczas stało z moją biedną Margery? Dziękuję Bogu, że wolą i łaską swoją ochronił mnie od przedwczesnego zgonu, zwłaszcza, że obecnie nie czułbym się godny stanąć przed Jego świętem obliczem.

Sądzę, że w czasie gorączkowych majaczeń nie zdradziłem mojej tajemnicy. P. Eversleigh opowiadał mi, że bajałem niekiedy dziwne rzeczy o jakichś szkieletach i rubinach, oraz o potwornej twarzy, przed którą uciekałem, lecz dziennik mój z pergaminem i klamrą złotą były widocznie dobrze przechowane, jeśli wydobyłem wszystko nietknięte i zatrzymuję obecnie przy sobie. Pozwolono mi przechadzać się codziennie kilka minut po ogrodzie, więc skorzystałem dziś z przechadzki i z niemałem wzruszeniem odkopałem to, co mi ułatwi odnalezienie ukrytego skarbu.

Biedna Margery! Ileż niepokoju sprawiać jej musi moje milczenie! Napiszę do niej jutro, a przynajmniej jutro zacznę list pisać, bo wątpię, abym miał dość siły skończyć go w ciągu dnia jednego. W rzeczy samej nie powinienbym nawet kreślić tego, co tu kreślę obecnie, lecz coś mnie dziś ciągnęło do kart mego dziennika. Przypuszczam, że to była gorąca chęć podziękowania Bogu za powrót do zdrowia.

22 czerwca. — Napisałem do Margery, lecz po namyśle list podarłem. Lepiej będzie, jeśli zaczekam na statek, na którym mógłbym powrócić do Anglii i dopiero wtedy zawiadomię ją razem o wszystkiem. Pan Eversleigh, który jest dla mnie niezmiernie uprzejmy, chociaż nie tak serdeczny jak Sanderson, nie chce słyszeć o moim wyjeździe, ze względu na stan, w jakim znajduję się jeszcze.

Pytam się siebie, w której części świata przebywać może w tej chwili Szymon Colliver.

1 lipca. — Och, jakże okropnie nudne to ciągłe oczekiwanie! Czy już Anglii nie ujrzę nigdy? Lekarz utrzymuje, że pogarszam stan mego zdrowia, niepokojąc się nieustannie, ale przecie to rzecz nie do zniesienia wlec w bezczynności mizerny żywot, gdy u kresu podróży czeka mnie fortuna, przewyższająca wszystko, co sobie wyobrazić można, a przytem — co dla mnie większe posiada znaczenie — połączenie się z ukochanemi istotami.



Zbliżył się do głowy leżącej na trawie pod krzakiem.

6 lipca. — Aby uczynić zadość moim prośbom, przyrzekł mi p. Eversleigh zasięgnąć wiadomości o okrętach udać się mających do Anglii.

Uspokoił po części niecierpliwość moją, a zarazem osiągnął cel przetrzymania mnie nieco dłużej u siebie, zapewniając, że ze względu na bezpieczeństwo, wybór jego paść musi na statek, odbywający zwykle drogę pomiędzy Anglią a Indyami Wschodniemi, a który ma wyruszyć z Colombo mniej więcej za dni piętnaście. Okręt zowie się „Fortuna", kapitan Cyrus Holding. Jest to statek angielski, liczący około sześciuset ton objętości, przewożący ładunek, złożony z kawy i cukru. Załoga jego składa się z ośmnastu ludzi. Jutro mam go zwiedzić razem z p. Eversleigh. Z góry przygotowany jestem przyznać mu wszystkie możliwe zalety, byle tylko z portu wypłynąć jak najspieszniej. Żałuję, że nie może wcześniej puścić się w drogę.

8 lipca. — Tak się czuję jeszcze osłabiony, że nawet krótka, wczorajsza wycieczka wyczerpała mnie z sił do tego stopnia, że nie mogłem wieczorem ani jednego słowa wpisać do mego dziennika. Byłem na pokładzie „Fortuny" i jestem z okrętu zupełnie zadowolony, a przedewszystkiem z kapitana, którego fizyonomia podobała mi się bardzo. Zatrzymałem dla siebie doskonałą kajutę, obok kapitańskiej, za bardzo umiarkowaną cenę, opłaconą już bowiem była z drogą powrotną przez jakąś damę, która obecnie powracać nie zamierza. Tym sposobem przybędę do domu z pewnym małym zapasem pieniężnym, bo równie pomieszkanie jak życie, tak tutaj, jak i w Bombaju, nic mnie nie kosztowało, a doktor i lekarstwa nie wyczerpały kwoty, jaką na wszelki wypadek osobno odłożyć musiałem.

Napisałem dziś do Margery, nie wspominając jednak wcale ani o mojej teraźniejszej chorobie, ani o zdradzieckim i podstępnym zamachu, który mnie na czas dłuższy zdrowia pozbawił. Wszystko to jej opowiem, gdy przyjadę, nie budząc już obawy, którą uczułaby się przejętą, gdyby o wszystkiem dowiedziała się z listu.

10 lipca. — Udałem się dziś znowu na statek. Zapomniałem tu zaznaczyć, że należy do pp. Vincent i Hext z Bristolu i że podąży ku temu portowi. Jedynemi, prócz mnie pasażerami, są doktor Concanen i jego żona, oboje znajomi p. Eversleigh. On, jako lekarz, cieszył się w Colombo znacznem powodzeniem, lecz stan zdrowia małżonki zmusza go opuścić licznych pacyentów i wraca do Anglii.

P. Eversleigh przedstawił mnie dziś obojgu na pokładzie „Fortuny". Mąż jest prawie tegoż samego wzrostu i tejże samej tuszy, co mój gospodarz. Wydaje się silnym i zdrowym mężczyzną, pani Concanen zaś wątła i widocznie zmęczona, jest przytem osobą bardzo uprzejmą, tak jednak widocznie osłabioną, że chciałem jej odstąpić moją kabinę, jako stokroć wygodniejszą i wykwintniej urządzoną od tej, którą oni zająć mogą, lecz nie pozwoliła mi nawet mówić o tem, dowodząc, że jestem znacznie od niej słabszy. Zapewnia, że podróż morska uzdrowi ją szybko, zwłaszcza podróż powrotna do ukochanej Anglii. Czuję, że będę mieć w dwojgu bardzo miłe towarzystwo. Pani Concanen zabiera z sobą służącę, Ceylonkę, aby w razie pogorszenia stanu zdrowia, mieć kogoś, ktoby umiał ją pielęgnować.

11 lipca. — Wypłyniemy za tydzień. Długo dziś rozmawiałem z kapitanem Holkingiem. Ma nadzieję, że podróż nasza nie będzie trwać długo, lecz potrzebowałby większej załogi. Nie widziałem dziś Concanenów.

16 lipca. — Jutro popołudniu wyruszyć mamy w drogę. Udałem się na pokład, aby ukończyć przygotowania do podróży. Bardzo mi się podoba moja kajuta. — Kapitan ciągle szuka majtków.

17 lipca. — Wieczór. Godzina 7 i minut trzydzieści. — Po czwartej podnieśliśmy kotwicę i podążamy ku ojczyźnie, robiąc około siedm węzłów na godzinę. Concanenowie stali wraz ze mną na pokładzie, zwróceni w stronę lądu, który powoli znikał nam z przed oczu. Gdy po niejakimś czasie zarysy dumnego i wspaniałego Wirchu Adama rozpłynęły się i znikły w mgle wieczornej... daj Boże, żebym go już nigdy nie oglądał w życiu... raz jeszcze podziękowałem Opatrzności, tak troskliwie dotąd czuwającej nademną. Mamy wiatr pomyślny, a załoga, chociaż nieliczna, o ile sądzić można z pozorów, spełnia sumiennie swoje obowiązki. Składa się z piętnastu ludzi, trzech bowiem, na osiem dni przed wypłynięciem „Fortuny" z portu, podziękowało kapitanowi za służbę. Nie widziałem się jednak dotąd z Holdingiem, więc nie wiem, czy nie zdołał w ostatniej chwili uzupełnić liczby koniecznie mu potrzebnej. Pani Concanen zaprosiła mnie do swej kabiny, aby rozmawiać o Anglii.

18 lipca. — Więcej może nawet, niżbym to okazać pragnął, czuję się zaniepokojony ciekawem odkryciem, jakie zrobiłem przed chwilą. Wychodząc dziś z rana na pokład, ujrzałem na podniesieniu przednem człowieka, którego budowa wydała mi się znana. Odwrócił się, a ja poznałem w nim Szymona Collivera. Zmienił zewnętrzną powierzchowność; ubrany jest jak majtek i ma kolczyki w uszach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr maryonetek w pracowni.

Za przykładem krakowskiej szopki „Zielonego Balonika“ Lwów pozyskał satyryczno-artystyczny teatr maryonetek. W poprzednim numerze zamieściliśmy kilka podobizn z tego maryonetkowego personalu „artystów“, przedstawiających znane postacie ze świata politycznego, artystycznego i literackiego. W tej maryonetkowej trupie są reprezentowane najrozmaitsze kierunki polityczne, społeczne i artystyczne, ale pomimo to wszyscy jej członkowie żyją ze sobą w idealnej zgodzie i harmonii... Dla publiczności przybierają groźne miny, gryzą się, staczają zacięte walki, lecz w gruncie rzeczy są niedościgłym ideałem artysty dla każdego dyrektora teatru: nie mają żadnych wymagań i nie... pobierają nawet gaży. Najwięcej jest kłopotu nie tylko z wykonaniem ich gipsowych fizyonomii, ale i należytem wyekwipowaniem we wszystkie szczegóły „stylowej“ garderoby. Nad tem pracował też cały szereg artystów lwowskich, a wśród nich p. Rychter Janowska, którą przedstawia właśnie nasza illustracya przy pracy nad wykonaniem maryonetek. Robota wre w całej pełni... Przygotowani już zupełnie do występów „artyści“ z całą obojętnością i abnegacyą gniotą się w ciasnem pudełku jeden obok drugiego, nie zdradzając bynajmniej żadnych politycznych lub społecznych antagonizmów... Inni leżą jeszcze w tragicznych pozach na ziemi, oczekując, aż artystka „ostatniem dotknięciem“ zakwalifikuje ich na scenę, gdzie niemi i tak apatyczni „artyści“ ożyją, aby wystąpić do boju w szrankach... satyry.



Teatr maryonetek w pracowni: P. Rychter-Janowska w swej pracowni we Lwowie, zajęta wykonaniem marjonetek.

Warszawa w powodzi jubileuszów.

Na Warszawę spłynął w ostatnich czasach formalny deszcz jubileuszów. Obok licznych obchodów jubileuszowych na cześć różnych działaczy, zasłużonych na polu nauki, sztuki, czy literatury, święcił swe jubileusze cały szereg instytucyi. Między innemi Filharmonia obchodziła pamięć swych narodzin przed 10 laty, a „Lutnia“ dwudziestopięciolecie swego istnienia...

Obie te instytucye, powołane do szerzenia kultury muzycznej w Warszawie, mogą z dumą spojrzeć po za siebie... Już bowiem sam fakt ich istnienia jest ważnym dorobkiem kulturalnym.

Trudne zwłaszcza koleje przechodziła Filharmonia warszawska, która wyszła jednak zwycięsko z ostatniego kryzysu materyalnego, zagrażającego jej bytowi. Powstała w warunkach jak najpomyślniejszych i wróżących dalszemu jej losowi jak najlepsze nadzieje.

Dzięki poparciu sfer magnackich, które przystąpiły do przedsięwzięcia z wielkimi kapitałami Filharmonia rozpoczęła swój żywot przed 10 laty od wybudowania własnego pałacu sztuki, jednego z najwspanialszych w Europie. Sztuka nie jest jednak u nas jeszcze przedsięwzięciem popłatnem.

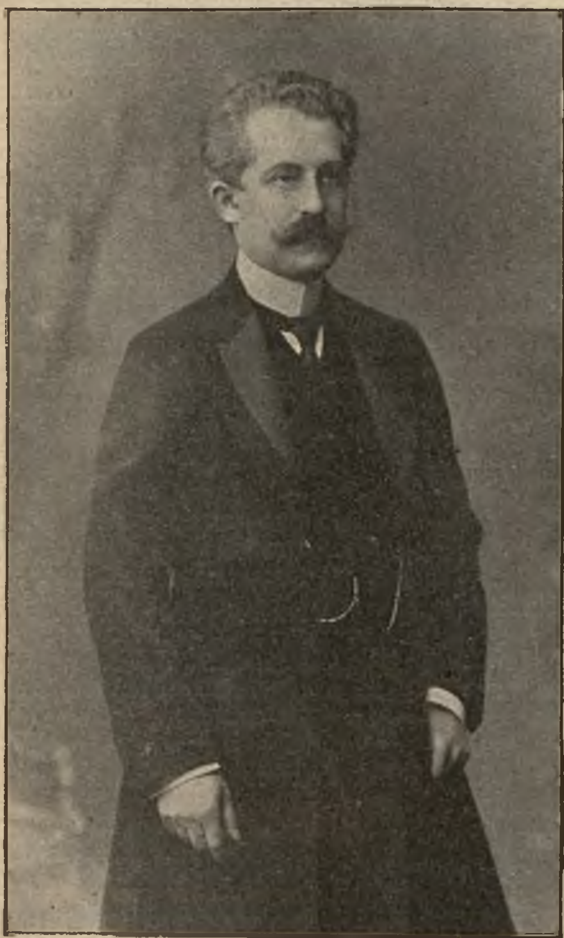
Więc po kilku latach artystycznej działalności, zakreślonej na szeroką skalę, finanse Filharmonii zostały tak nadszarpane, iż zdawało się, że upadek jej jest nieuchronny. Na szczęście — sanacya finansów nie tylko uratowała byt instytucyi, ale pchnęła ją na tory choć szczuplejszej, ale właściwej i wysoce artystycznej działalności. Obecnie stroną artystyczną zajmuje się wyborna orkiestra symfoniczna, rządząca się autonomicznie i prowadząca kampanię artystyczną już bez deficytu. Dla upamiętnienia dziesięcioletniego jubileuszu Zarząd Filharmonii przeznaczył kilka tysięcy rubli na konkurs muzyczny, a tych członków orkiestry symfonicznej, którzy w liczbie czternastu należą do jej składu od chwili powstania Filharmonii, t. j. od lat 10 ciu, uczcił złotemi żetonami...

Zasłużony jubileusz obchodziła również w tych dniach warszawska „Lutnia“, która święciła srebrne



Warszawa w powodzi jubileuszów: Zarząd „Lutni“ warszawskiej w 25 roku jej istnienia: Rząd I. od dołu od lewej ku prawej: 1). Stan. Ring (bibliotekarz), 2). Aleks. Zawadzka (czł. zarz). 3). Filip Wołowski (honor. wiceprezes, członek założyciel). 4). Piotr Maszyński (dyr. jubilat czł. zał.) 5). Stan. Wydżga (obecny prezes). 6). Zyg. Kaczyński (wice-prezes, czł. zał). Rząd II. od lewej do prawej: 1). Wł. Rzepko (wicedyrektor od lat 24). 2). Cz. Minchejmer (uczestnik pierw. konc). 3). Leon Rappaport (czł zał). 4). Ant. Markowski (czł. zarz). 5). Br. Piastuszkiewicz (czł. zał). 6) H. Neuman (sekretarz). 7) Lud Kowalski (uczestnik pierw. konc). Rząd III. Lud. Celewicz (czł. zarz). Aleksander Jung (skarbnik) i Roman Rudowski (gospodarz).

gody z polską pieśnią... Obchód jubileuszowy tego sympatycznego stowarzyszenia odbył się bardzo uroczyście. O godz. 10 rano w katedrze zostało odprawione solenne nabożeństwo, na którem chór „Lutni“ pod kierunkiem dyr. Maszyńskiego wyko

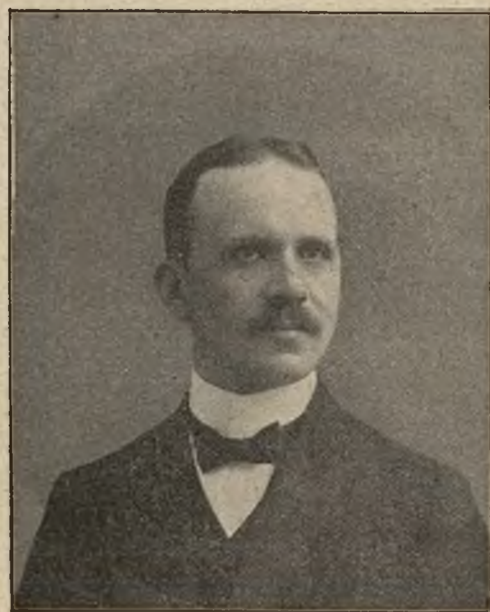


Nowi posłowie: Dr. Natan Loewenstein, wybrany ponownie w Drohobyczu.

nał „Mszę Piotrowińską“ Moniuszki. Wieczorem odbył się jubileuszowy koncert, a po koncercie bankiet. Na tę uroczystość artystyczną przybyło mnóstwo gości zamiejscowych, a między innymi nestor kompozytorów polskich Władysław Żeleński z Galicyi, dyrektor Związku Kół śpiewackich w Poznańskiem, p. Bartkiewicz z Ostrowa, delegaci ze Lwowa i inni.

Należy jeszcze zaznaczyć, że jednocześnie z 25-letnim jubileuszem „Lutni“ i dyrektor jej, zasłużony kompozytor p. Piotr Maszyński, obchodził dwudziestopięciolecie swej pracy dyrektorskiej. Był to więc podwójny jubileusz śpiewaczej drużyny i jej zasłużonego kierownika.

W cyklu ostatnich obchodów jubileuszowych w Warszawie specyalne miejsce zajmuje jubileusz



Warszawa w powodzi jubileuszów: Inż. Vinquist, dyrektor telefonów warszawskich.

telefonów, a właściwie Tow. Cedergren, które w tych dniach obchodziło dziesięciolecie dzierżawy stacyi warszawskiej. Tow. może również być zadowolone z swej 10 letniej działalności. Kiedy bowiem w r. 1901 objęło od Tow. „Bella“ warszawską stacyę telefoniczną, ta liczyła 2.248 aparatów i 42 telefonistki, obecnie liczba aparatów wynosi przeszło 25.000, a na stacyi jest czynnych 435 telefonistek.

W ciągu tej 10-letniej działalności Tow. „Cedergren“ w Warszawie obowiązki naczelnego dyrektora stacyi telefonicznej sprawuje nieprzerwanie inż. Vinquist, który taktem i wyrozumiałością potrafił



Nowi posłowie: Dr. Henryk Reizes, wybrany w okręgu złoczowskim.

zjednać sobie sympatyę całego pesonalu tej olbrzymiej instytucyi, zatrudniającej przeszło 1000 pracowników obojga płci.



Warszawa w powodzi jubileuszów: Grupa jubilatów Filharmonii, którzy od chwili powstania tej instytucyi są członkami warszawskiej orkiestry symfonicznej.

Nowi posłowie

Przy ostatnich wyborach do austryackiej Rady państwa dwa okręgi wyborcze: drohobycki i złoczowski zostały „osierocone“ przez swych posłów. — W pierwszym został wybrany polski demokrata dr. Natan Löwenstein, ale z powodu krwawych zajść, jakie się rozegrały w Drohobyczu w dniu wyborów, mandatu nie przyjął. W drugim okręgu wyszedł z urny „podwójny“ poseł p. Breiter, który został również wybrany we Lwowie, wobec czego z mandatu złoczowskiego zrezygnował.

W ten sposób po ogólnych wyborach te dwa okręgi stały się jeszcze przedmiotem pożądań

poselskich i terenem agitacyi i dalszych walk wyborczych.

Ostateczna kampania rozstrzygnęła się w dniu 28 listopada. Przy uzupełniających wyborach w okręgu drohobyckim został wybrany ponownie dr. Natan Löwenstein, a w okręgu złoczowskim wyszedł „breiterowszczyk“, popierany przez syonistów i Rusinów, adwokat Henryk Reizes ze Lwowa.

Illustracye nasze przedstawiają podobizny obu świeżo wybranych posłów...



Z pola walki: Grupa dziewcząt i chłopców w Trypolis'e.



Z pola walki: Sprzedaż chleba w Trypolisie.

Z niwy społecznej.

Skromną, lecz bardzo piękną uroczystość obchodziła w tych dniach krajowa szkoła kołodziejsko-kowalska w Grybowie: żegnała swego ustępującego kuratora, miejscowego notaryusza, p. Michała Huzę, który w ciągu swej 14 letniej działalności kuratorskiej dla rozwoju tej szkoły położył wielkie zasługi, a wśród grona nauczycielskiego i licznej młodzieży zyskał powszechny szacunek...

Praca ta wydała też plon obfity... Tak niezbędna dla podniesienia naszego przemysłu szkoła kołodziejsko-kowalska w Grybowie musiała walczyć z początku z wielkiemi trudnościami. Pomieszczona w walącym się budynku miejskim, nie mogła zdobyć szerszej frekwencyi i rozwinąć należycie swej działalności. Ruchliwy, energiczny i oddany szkole kurator w krótkim stosunkowo czasie zmienił te opłakane stosunki. Dzięki jego zabiegom i staraniom szkoła od sześciu lat mieści się w nowym budynku i rozwinęła się w poważny zakład naukowy, w którym liczna młodzież miejscowa i z dalszych powiatów pobiera naukę kołodziejstwa lub kowalstwa. Szkoła posiada również internat, w którym 40 uczniów znajduje mieszkanie i całe utrzymanie.

Szkoła grybowska, słynąca z swych pięknych i trwałych wyrobów, zdobyła też uznanie w całym kraju, a mury jej nie mogą dziś pomieścić wszystkich zgłaszających się do niej po naukę. O jej znaczeniu świadczy fakt, iż wielu jej wychowanków, bądź to przy pomocy Wydziału krajowego, bądź za swoje fundusze, założyło własne pracownie w różnych miejscowościach kraju, przyczyniając się w ten sposób do podniesienia krajowego przemysłu.

Swą szeroką działalność i tak szybki rozwój szkoła grybowska zawdzięcza właśnie niestrudzonym zabiegom kuratora p. Michała Huzy, który z wielkiem poświęceniem oddaje się pracy obywatelskiej. To też ludność powiatu obdarzyła go w r. 1901 mandatem do Sejmu. Prócz tego p. Huza jest członkiem Rady m., Rady powiatowej, Rady szkolnej okręgowej i t. d.. Z powodu jednak nadwątlonego zdrowia musiał ograniczyć swą pracę społeczną i zrezygnować z godności kuratora szkoły kołodziejsko-kowalskiej, która cicho, lecz serdecznie żegnała swego opiekuna. Po przemówieniu kierownika szkoły p. Gzowskiego wręczono ustępującemu kuratorowi adres od grona nauczycielskiego z podziękowaniem za długoletnią, bezinteresowną opiekę i tak owocne starania o rozwój szkoły.

Uroczystość zakończyła się wspólną fotografią ustępującego kuratora z gronem nauczycielskiem i uczniami, którą zamieszczamy w numerze.

Jeden z ostatnich.

Z końcem ubiegłego tygodnia zeszła do grobu jedna z tych typowych postaci starego Krakowa, które zżyły się z nim i jego murami i nie mogły pogodzić z rzekomym postępem, niszczącym dla interesu jednostki zabytki, nad którymi całe wieki pracowały. Spędziwszy tutaj prawie całe swoje życie, znał z nich każdy historyę miasta i niemal każdego domu, kochał te pamiątki świetnej przeszłości całem sercem i bolał serdecznie, że młode pokolenie nie umie ich uszanować.

Jednym z ostatnich z pośród tej starej gwardyi,

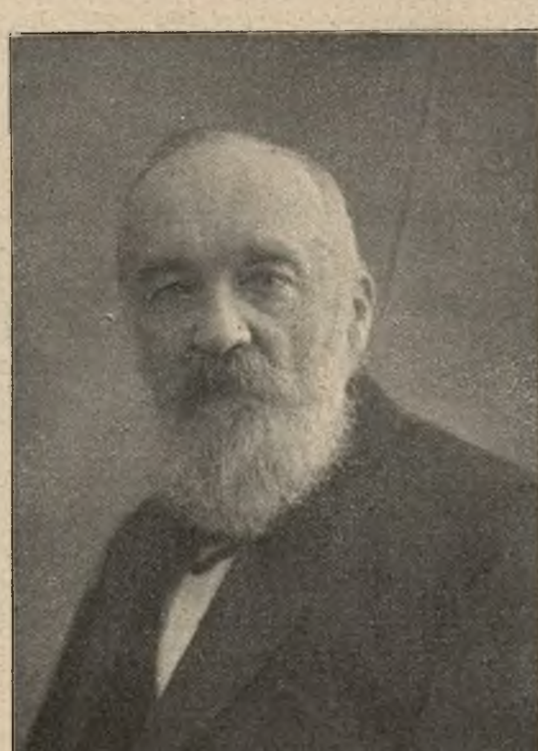


Z niwy społecznej: Grono nauczycielskie i uczniowie szkoły kołodziejsko-kowalskiej w Grybowie z ustępującym kuratorem, p. Michałem Huzą w pośrodku.

to znany i ceniony w Krakowie dr. Józef Szewczyk, przed laty jeden z najwybitniejszych krakowskich lekarzy.

Urodzony przed siedmdziesięciu siedmiu laty w Żarnówce pod Myślenicami. po ukończeniu studyów medycznych osiadł w Krakowie, pierwotnie jako asystent ś. p. prof. Dietla, następnie jako lekarz wolnopraktykujący i przez pięćdziesiąt lat nie spełna niósł pomoc cierpiącej ludzkości, zyskując sobie ogromną wziętość i zasłużoną sławę nie tylko w Krakowie, lecz i za granicą, dokąd go jako znakomitego dyagnostę często powoływano.

W ostatnich latach, przyciśnięty ciężarem wieku, usunął się w zacisze domowego ogniska i tu zakończył swój zasłużony żywot, pozostawiając po sobie szczery żal w sercach tych wszystkich, którzy mieli sposobność zetknąć się z nim osobiście.



Jeden z ostatnich: Ś. p. dr. Józef Szewczyk.



Z pola walki: Ruch uliczny w Trypolisie.

Odznaczenie zasłużonego strażaka.

Większe miasta galicyjskie, nie mówiąc już o Lwowie i Krakowie, posiadają prócz straży ogniowych ochotniczych, nie mogących z natury rzeczy pracować tak wydatnie i straże zawodowe, utrzymywane przez zarządy gminne, niezbyt może liczebnie silne, ale stojące na wysokości swego zadania.

Do nich należy i straż kołomyjska, zostająca pod komendą wytrawnego strażaka, naczelnika Mianowskiego, który oddział swój postawił na tej stopie, że z pewnością się go nie powstydzi.

Sam jednak naczelnik, choćby i najlepszy, nie wystarczy, jeśli nie ma przy boku sumiennych i oddanych swemu zawodowi podkomendnych, którzyby pracowali z poświęceniem się i zaparciem dla dobra współobywateli.

Ciężka to i odpowiedzialna, a przedewszystkiem bardzo wytężająca praca, nic też dziwnego, że wielu ją porzuca, ci zaś, którzy w niej wytrwali, zasługują tem bardziej na publiczne uznanie i nagrodę. Jest to zachęta dla odznaczonego i piękny przykład dla jego kolegów.

Taką właśnie uroczystość i to podwójną, obchodziła kołomyjska straż w ubiegłym tygodniu. Sierżant jej, znany z owocnej działalności na niwie pożarnictwa, p. Erazm Wesołowski, święcił w tym dniu dwudziestopięcioletni jubileusz swej zawodowej pracy i przy tej sposobności odznaczony został honorowym medalem rządowym, przeznaczonym dla strażaków.



Z pola walki: Ulica w dzielnicy arabskiej Trypolisu.



Odznaczenie zasłużonego strażaka; Straż ogniowa kołomyjska z naczelnikiem Mianowskim i jubilatem Wesołowskim w pośrodku.

GASTON LEROUX.

BALAOO

7)

Nic tajemniczego nie było w młodej dziewczynce, z którą bawił się przy ulicy Eau u swojego ojca. Jakżeż zmieniła się teraz! I co robiła tutaj? Czy możliwe było, żeby te usta, tak dawniej wesołe i śmiejące się — dziś wymawiały (głosem Zoe) — straszliwe zdanie? I dlaczego? dlaczego?

— Nie! nie! to było niemożliwe!

Podczas gdy jego umysł mimowoli tworzył obraz Magdaleny jako przyjaciółki trzech braci, młoda dziewczyna przestała patrzeć w stronę okna i zrobiła poruszenie. I w tej chwili Patryk zobaczył wchodzące na podwórze dwie nowe postacie, których dotąd nie zauważył. Były to Zoe i Gertruda, niosące drabinę. — Na znak Magdaleny, weszły z nią do piwnicy, potem wszystkie trzy stanęły przed wejściem do piwnicy nieruchomo i patrzyły w stronę jego okna.

Wydawało mu się, że twarze starej służącej i Zoe wyrażały jeszcze więcej silnego niepokoju, przestrachu i złości, niż twarz Magdaleny.

Spróbować rozwikłać to, co się działo w mózgu Patryka, byłoby trudnem zadaniem psychologicznem. Panowała tam teraz nowa zagadka: obecność Zoe. Nie było więc naśladowania głosu. Lecz cóż w takim razie oznaczała ta rozmowa w piwnicy? Ach! jakżeż dziwna była ta rozmowa i owa wzmianka o wstążce z włosów! A czy nie można było przypuścić, że rozmowę tę prowadzono pod jego oknem tak, by ją mógł słyszeć?! I do czego to zmierzało? Czy chciano, by pod groźbą śmierci, uciekł? Wszystko to było straszne i dziecinne zarazem.. okropnie proste i wyjątkowo powikłane... A wszystko to nie wyglądało na pomysł dwóch młodych dziewczyn, choć jedna z nich była siostrą „trzech braci". Tak — ale druga — druga była Magdaleną! I co do niej... tu myśl Patryka zatrzymała się. Na tej pochyłości, po której umysł młodego człowieka staczał się w koziołkach coraz nieprawdopodobniejszych, dotykając wszystkiego, oprócz logiki — musiał się wreszcie zatrzymać.

Patryk oprzytomniał, mówiąc „gadam głupstwa". Powtórzył to głośno, patrząc na trzy kobiety.

— Nie wiem, co tam robią, więc je zapytam.

Powinien to był zrobić dawno. Ale w chwili, gdy chciał otworzyć okno, trzy postacie rozdzieliły się. Gertruda i Magdalena, rzuciwszy ostatnie spojrzenie w stronę okna, znikły w cieniu domu — Zoe zaś wróciła do piwnicy. W chwilę później Patryk usłyszał nad sobą ostrożne kroki starej — potem cisza zapanowała zupełna. Bez szmeru spuścił żaluzyę i otworzył okno. Na dole, niedaleko bramy ogrodowej w tej samej alei, gdzie rano całował Magdalenę, zobaczył przechadzającą się parę. Gdy wchodzili, trzymając się czule za ręce, w krąg światła, mógł dojrzeć twarz kobiety. Była to znowu Magdalena... Co do mężczyzny, głowa jego pozostała w cieniu, ale po figurze i ruchach Patryk poznał go odrazu. Nie potrzebował widzieć twarzy, żeby wiedzieć, że świeciły w niej oczy albinosa...

Biedny Patryk! Biedny Patryk! Historya wstążki z włosów powiedziała już mu wiele! Młoda osoba, której broni tylko niewinność i która przyjaźni się z Zoe, którą opiekuje się stary maniak — a kapryśom dogadza stara, głupia służąca — taka młoda osoba, zacząwszy kokietować Vautrina, może zajść daleko! O, zajdzie daleko!

Doszedłszy do końca alei, Magdalena długim uściskiem dłoni pożegnała swego towarzysza i wróciła do domu. Mężczyzna pozostał w ogrodzie i długo jeszcze przechadzał się po alei. Patryk przez cały czas obserwował go, nie odchodząc od okna. Cierpliwość jego była wreszcie wynagrodzona. W pewnej chwili światło księżyca padło wprost na twarz spacerującego. I Patryk poznał Noela. Teraz nie rozumiał już nic... Nie mogąc znaleźć wyjścia z zaklętego koła, w którem przez tyle godzin kręcił się rozpaczliwie, zasnął wreszcie wyczerpany na krześle, mrucząc: „Magdalena jutro mi to wytłumaczy. Ostatecznie — może to wszystko jest bardzo proste!"

Obudził się rano zmęczony, rozbity, z gorączką. Chciał położyć się do łóżka, ale natychmiast opadły go wspomnienia nocy, rozbudzając najgorsze podejrzenia. Postanowił więc obserwować i badać, nie okazując nic po sobie. Jeżeli Magdalena, której rola w tej nocnej przygodzie była conajmniej dziwna i w żaden sposób nie dająca się wytłumaczyć — jeżeli Magdalena nie da mu żądanych wyjaśnień, jeżeli nie będzie z nim szczerą, to znaczy, iż uważa go za wroga i wszystkie podejrzenia, których się nieco wstydził, odzyskają na nowo swą siłę!

Patryk, dla orzeźwienia się, wziął zimny tusz. Po kąpieli, przy jasnym słonecznym dniu czuł się silniejszym i przygotowanym do walki ze złością i podstępem. Rozpocznie ją, jeżeli Magdalena nie odezwie się pierwsza i nie rozproszy mroków, zalegających jego umysł, kilku słowami, płynącemi z serca. Zeszedł na dół i zastał narzeczoną w jadalni przy śniadaniu. Gertruda usługiwała. Obie zapytały go, jak spędził noc. Odrzekł, że spał nieźle... tak — niezupełnie dobrze, ale ostatecznie umysł jego był jeszcze zajęty strasznemi wrażeniami — często wydawało mu się, że słyszy jęki, błaganie o pomoc... zdawał sobie jednak sprawę, że to gra wyobraźni, wstrząśniętej niedawnemi przejściami... starał się więc panować nad sobą i siłą woli zmusił się do snu. Mówił urywanemi zdaniami, pragnąc dać im możność wtrącenia się, jednocześnie ukradkiem obserwował i pochwycił spojrzenia, któremi porozumiewały się i zachęcały się do wytrwania w kłamstwie. Zauważywszy to, był już pewien, że nie powiedzą mu prawdy. Magdalena jadła dalej śniadanie, odwróciwszy głowę, a Gertruda odrzekła, że dobrze zrobił, nie dowierzając swym przywidzeniom, gdyż ona, chociaż ma sen wyjątkowo lekki, zupełnie nic nie słyszała tej nocy.

— To dziwne — rzekł młody człowiek — zdawało mi się, że Gertruda wstawała w nocy, słyszałem nad sobą kroki...

— Broń Boże! Spałam doskonale przez całą noc. Nie pamiętam, żeby kiedy było tak cicho w domu, jak właśnie tej nocy — odparła stara służąca i wyszła z pokoju, rzuciwszy spojrzenie na Magdalenę.

Młoda dziewczyna była widocznie poruszona. Można to było poznać po drżeniu ręki. Starała się jednak zachować spokój. Patryk czynił to samo. Smarując bułkę masłem, zapytał od niechcenia:

— A ty, Magdaleno, nic nie słyszałaś?

— Ależ nic, mój drogi, spałam doskonale do rana.

Kłamała strasznie, nie rumieniąc się nawet. Przeciwnie, była dziś bardzo blada.

Patryk, cierpiąc strasznie, nie spojrzał na nią więcej. Obawiał się, żeby nie wyczytała w jego oczach wstydu, jaki czuł za nią. Czuł, że teraz ona go obserwuje. Przemógł się wreszcie i przemówił prawie naturalnie:

— Nigdy nie prosiłem cię o nic, Magdaleno, dziś zaś chcę cię poprosić o jedną rzecz.

— O cóż takiego, Patryku?

— O wstążkę, którą masz we włosach.

Tym razem Magdalena zaczerwieniła się i zadrżała.

— Co za dziwne pomysły miewasz, dopprawdy!

— Dziwne? Przecież często narzeczeni proszą o takie drobne pamiątki. Tu nawet istnieje taki zwyczaj.

— Dlaczegoż ty nigdy nie prosiłeś o to?

— A czy proszono cię wogóle kiedy o wstążkę?

Patryk powiedział to twardo. Magdalena oszołomiona, wstała i złożyła serwetę.

— Nie, nigdy! — odrzekła.

— Jeżeli zakochani nie dostają tego, o co proszą — ciągnął z uporem Patryk, nie podnosząc oczu — wówczas biorą sami.

— Oto moja wstążka, Patryku — rzekła drżącym głosem.

Odpiąwszy drobnemi rękami wstążkę z głowy, położyła ją na stole obok Patryka. Wówczas ten podniósł głowę i zobaczył, że narzeczona jego płacze. Był tem tak zdziwiony, że zanim zdążył przemówić do niej, Magdalena wyszła.

Przez cały ranek nie widział jej więcej. Ale szukając jej po całym domu, spotkał Zoe, która przychodziła pracować do Coriolisa i której Gertruda dawała czasem coś do zreperowania. Zaczął ją wypytywać. Wszystko, co mu powiedziała, kazało mu mniemać, że w nocy nic nadzwyczajnego nie zaszło. Na ostrożne napomknienie o rozmowie w piwnicy nic mu nie odpowiedziała — udała się do kuchni, jakby pragnąc uciec od niego.

Patryk próbował zagadnąć Gertrudę, ale ta bez ceremonii wyprawiła go za drzwi, tłumacząc, że jej przeszkadza. Wówczas skierował się w stronę cieplarni i począł wołać na Noela, ale nie dostał odpowiedzi. Tymczasem nadszedł stary Coriolis i zastukał do drzwi Noela.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka. Patryk chciał wejść za nim, ale wuj zatrzymał go. W chwilę później Coriolis wyszedł, rozgniewany.

— Ten urwis nie kładł się wcale tej nocy. Łóżko jego nieporuszone. Nie widziałeś go?

Patryk odpowiedział, że nie widział go od wczoraj.

— Korzysta z tego, że mam dużo pracy i cały czas spędzam w wieży. Robi teraz co mu się podoba! Co za hultaj! Pewnie włóczy się po lesie i spał tam pod gołem niebem. Wie, jak ja tego nie lubię. Będę musiał znowu obić łobuza!

— Wuj go tak ciągle bije! — ośmielił się zauważyć Patryk.

— Mój drogi, gdybym ci powiedział.. tak ostatecznie powiem ci — rzekł Coriolis z dziwnem wzruszeniem — otóż, bijąc go, sam więcej cierpię, niż on.

— A więc czemu go wuj nie oszczędza?

Coriolis opuścił głowę i zamyślony zawrócił w stronę domu. Patryk szedł za nim, obserwując go. Wuj wydawał mu się teraz dzielnym człowiekiem. Co prawda był nieco szorstki, gwałtowny i czasem nawet straszny, ale niemniej był dzielnym człowiekiem. Opowiadano o nim, że był przez jakiś czas piratem. Ale wszyscy dawni piraci mają dobre serce. I Coriolis podlegał łagodnym uczuciom. Patryk zauważył to podczas rozmowy o Noelu. Ostatecznie ten chłopak, którego rzadko się widziało i o którym prawie nie mówiono, grał wielką rolę w tym domu. Patryk słyszał, co mówiono o Coriolisie, gdy powrócił z dalekiego Wschodu. Opowiadano sobie, że nie naprożno stary przywiózł z tak daleka tego chłopca. Na Wschodzie żenią się łatwo — i Coriolis powrócił do kraju z synem. Patryk myślał, że to byłoby wytłumaczeniem wielu rzeczy. Częsta chłosta, zarówno jak i poufałe spacery przy księżycu byłyby w takim wypadku zrozumiałe. Jeżeli Magdalena i Noel byli rodzeństwem, Patryk wybaczy im te czułe nocne przechadzki. Młody człowiek począł odczuwać silne wyrzuty sumienia.

Coriolis zajrzał do kuchni i zapytał Gertrudę o Magdalenę.

— Widziałam niedawno, jak panienka szła do lasu.

— Poszła pewnie szukać Noela, który nie nocował dziś w domu.

— Noce są tak piękne, proszę pana — tłumaczyła Gertruda.

— Czy widziałaś go od wczorajszego wieczora?

— Nie, proszę pana.

— A ty, Zoe?

— Ostatni raz widziałam go wtedy, kiedy mnie ciągnął za włosy.

— Masz i teraz na to ochotę?

— O nie, proszę pana! Ale ostatecznie może mnie targać, jak chce! Włosów mam dosyć!

Coriolis opuścił Patryka i udał się do wieży. Młody człowiek zaś z laską w ręku wyruszył w stronę lasu. Szedł na chybił trafił. Doszedłszy do granicy lasu, skręcił w krzaki i nagle zobaczył p. Herment de Meyrentin na czworakach. Ujrzawszy Patryka, sędzia wyprostował się i siadł na trawie.

— A, to pan, panie Saint Aubin! Co pan tu robi?

— Wyszedłem na przechadzkę, panie sędzio.

— I ja także — odparł sędzia śledczy i znowu stanął na czworakach. — A propos, chciałbym się z panem widzieć dziś po południu. Niech pan zajdzie do merostwa, pogadamy.

— Gdyby się panu nie spieszyło, miałym także coś do powiedzenia.

— A więc?

— A więc, oto co panu powiem, panie sędzio: Chcę stąd wyjechać jak najprędzej.

— Rozumiem to w zupełności.

— Jest pociąg o czwartej...

P. de Meyrentin stanął na kolanach, poprawił binokle i przyglądając się młodemu człowiekowi, rzekł:

— Rozumiem, że pan chce wyjechać, ale nie pojmuję, czemu pan chce jechać koleją.

— A to dlaczego?

— Do dyabła! Po tem, co pana spotkało!

— Ach! Wypadek!

— Powiedz pan lepiej — zamach.

— Niech będzie zamach. Ale przecież nie codzień zdarzają się zamachy na linii Clermont.

— Zważ pan także i to, że nie codzień pan jeździ tą koleją.

Patryk zadrżał.

— Pan tak sądzi? Ależ to straszne, co pan mówi, panie sędzio. Cóż ja mam począć teraz?

— To samo mogę i ja powiedzieć. Do widzenia, panie Saint Aubin, do wieczora. Pomówimy o czem pan tylko zechce... i o wielu innych rzeczach. Czekaj no pan, nie idź tędy. Ta ścieżka nie doprowadzi pana nigdzie. I co pan właściwie zamierza robić w tym lesie?

— Szukam swojej kuzyki. Czy pan nie widział jej?

— Owszem, spotkałem ją na brzegu lasu, weszła w głąb tam dalej — o sto metrów stąd. Wołała kogoś...

— Noela zapewne?

— Nie, to brzmiało inaczej! Kończyło się to na o... o... ao. Zdawało mi się, że wołała na zbłąkanego psa. Patryk spojrzawszy jeszcze raz na dziwną postawę sędziego śledczego, wszedł odważnie w las. Myślał o panu Meyrentin z oburzeniem: „Albo jest niespełna rozumu, albo wie napewno, że mi grozi śmierć, ale w takim razie, dlaczego nie każe nademną czuwać“.

Nagle przyszła mu do głowy myśl pocieszająca:

— Spotkałem go niedaleko domu Coriolisa, może on sam czuwa nademną.

Myśląc tak, Patryk rozumował jak głupiec. Powinien był wiedzieć, że nigdy ofiary zbrodni i zamachów nie interesowały sędziów śledczych, podczas gdy osoby zbrodniarzy zajmowały całą ich uwagę. Tem lepiej dla ofiar, jeśli kiedy korzystały na tem, ale dla sędziów była to sprawa drugorzędna.

Patryk szedł szybko, chociaż zwierzenia pana de Meyrentin zdawały się skazywać go na śmierć tragiczną; ale z drugiej strony wyrzuty sumienia, czyniące wspomnienie łez Magdaleny coraz dotkliwszem, pchały go naprzód.

Musiał mieć umysł mocno oszołomiony zbrodnią w oberży, jeśli mógł dla jakichś przywidzeń, choćby bardzo dziwnych, powątpiewać o niewinności swej narzeczonej. Teraz był pewny, najpewniejszy swojej głupoty. Nie potrzebował słyszeć Magdaleny, żeby ją uniewinnić w swych myślach. Kochała go i czuwała nad jego bezpieczeństwem. Cóż bardziej naturalnego! (Myśląc przedtem, że wszyscy czyhali na jego życie — teraz Patryk poczynał wierzyć, że cały rodzaj ludzki nie miał nic innego do roboty, jak czuwać nad nim). Magdalena pilnowała go w dzień i w nocy! Gertruda robiła to samo! I Zoe i Noel! Wszyscy oni byli w nocy na podwórzu, żeby chronić go od nieszczęścia!

Odczuwał tak silne wyrzuty sumienia i uważał je za tak zasłużone, iż nie mógł się powstrzymać i dla ukarania się — z całej siły uderzył się w piersi. W tej chwili rozległ się po lesie głos gongu.

Patryk zatrzymał się w najwyższem zdumieniu. Jego pierś nie mogła wydać takiego dźwięku. Nie była przecież z bronzu, a pięść nie wyglądała jak młotek. Ogłupiały, rozglądał się dokoła. Pod swemi stopami widział mchy i paprocie, a naokoło zieloną koronkę brzóz o białych pniach, które tworzyły pierwszą opaskę lasu. Tu i ówdzie w tym nieregularnym szpalerze wznosiły się potężniejsze pnie buków, jak pierwsze straże wysokopiennego lasu, który, wciąż gęstniejąc, nie przepuszczał już światła dziennego i pogrążony był w wiecznym mroku. To były właśnie owe tajemnicze Czarne lasy...

Ale tu las był szmaragowy i nie znał innych tajemnic, prócz tych, jakie się działy w gniazdach, zawieszonych na gałęziach...

Jednakże, uderzając się w piersi, Patryk wyraźnie słyszał dźwięk gongu. W uszach mu jeszcze dzwoniło. Żeby się przekonać, uderzył się znowu... I znowu ten sam dźwięk! Doskonale! Oto nowa jakaś historya! Rozgląda się, patrzy dokoła, kręci się na miejscu, zagląda w krzaki. Zapalczywie bije się w piersi raz, drugi, trzeci... Gong! gong! gonggg!... Zmieszany, osłupiały — opiera się o pień drzewa. Cóż to może być takiego? Ponieważ odgłos wychodzi nie z jego piersi, więc w takim razie chyba drzewa go wydają. Ale cóż to za drzewa, które dźwięczą jak dzwony — i to wówczas, gdy się bije w piersi... Nagle Patryk skoczył jak szalony... Poczuł na szyi ciepły oddech zwierzęcy. Zawył z przerażenia. Gdzieś daleko odpowiedział mu głos śpiewający:

— O... o... o... o... lao!...

— Magdaleno! Magdaleno! Magdaleno!

— O... o... o... ao... ao...

— Magdaleno!

— O... o... ao... lao!...

Głos zbliżał się, głos Magdaleny, wciąż śpiewając tę dziwną melodyę.

Patryk stał pośrodku małej polanki, na którą wyskoczył, żeby nie dotykać się niczego, żeby nie czuć oddechu zwierząt, które biegały po gałęziach, czekając z otwartą paszczą na przechodnia. Wołał, wzywał Magdalenę, jak małe, nierozsądne dzieci z bajki wzywają pomocy wróżki, co ich ma uratować.

— Magdaleno!

Ach! usłyszała go! odpowiada!

— To ty, Patryku?

— Tak, tak! To ja! to ja! Chodź prędko!

— Gdzie jesteś!

— Tutaj! tutaj!

— W której stronie? Krzycz dalej!

— Tak, tak! Magdaleno! Magdaleno!...

Wreszcie ukazała się. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Płakała jeszcze. Patryk, widząc to, zapomniał o swej nowej przygodzie — ale Magdalena, spostrzegłszy jego pomieszanie, podbiegła szybko, chwyciła go w objęcia, pytając:

— Czy ci się co złego stało?

— Ach, moja droga, nic, nic zupełnie! Tylko przestraszyłem się okropnie... Obejmij mnie (Oh, jak dobrze w objęciach Magdaleny — myślał biedny Patryk). Ale to już przeszło, odkąd tu jesteś, już minęło!...

— Ale cóż to było?



— Nigdy nie prosiłem cię o nic Magdaleno...

— Przyszedłem tu, żeby cię odszukać i przeprosić za to, że płakałaś z mego powodu. Stałem właśnie tam, pod tem drzewem, gdy nagle uczułem na karku ciepły oddech, jakby jakiejś paszczy, która chciała mnie zamordować i pożreć.

— Mój biedny Patryku, mój kochany — rzekła Magdalena, bardzo zasmucona — po co chodzisz do lasu?

— Jakto? Poco ja chodzę do lasu? Żartujesz ze mnie? Czyż mogłem przypuszczać coś podobnego? Czy to się jeszcze może przytrafić? Więc w lesie są dzikie zwierzęta?

— Dzikie zwierzęta? To zależy dla kogo... a zresztą nie można wiedzieć na pewno, mogą być wilki i dziki. Trzeba bardzo uważać, jeśli się ich dobrze nie zna.

— A ty je znasz dobrze?

— Ja? — odparła poważnie — znam wszystkie leśne zwierzęta i mówię do nich...

— Co ty wygadujesz?

— Zawsze chodzę do lasu, jak się nudzę w domu. Mogłam więc poznać dobrze las i wszystko, co w nim żyje... Czy nic więcej nie przytrafiło ci się?

— Ależ tak! I to coś, czego nie mogę pojąć... Ile razy uderzyłem się w piersi — rozlegał się dźwięk gongu.

— Naprawdę? — zawołała Magdalena z wesoło błyszczącemi oczami — głos gongu! To śmieszne! Spróbuj jeszcze raz!

Patryk, zdumiony spokojem Magdaleny, podniósł pięść i uderzył się w piersi — natychmiast odpowiedział mu dźwięk gongu.

— Hę?! — wrzasnął młody człowiek na nowo wystraszony.

Ale Magdalena wybuchnęła śmiechem. Śmiała się jak szalona, dusiła się ze śmiechu.

Patryk patrzył na nią obrażony.

— Uważasz, że to śmieszne? Kto to robi? wytłumacz mi, znasz las dobrze!

— Powtórz to — śmiała się Magdalena — powtórz to jeszcze raz!

Patryk bił się niezgrabnie w piersi i las dźwięczał. Ale ponieważ Magdalena nie przestawała śmiać się, nacisnął nerwowym ruchem kapelusz na głowę, jak człowiek, który odchodzi, nie życząc sobie, żeby się zeń dłużej śmiano. Magdalena rzuciła mu się na szyję.

— Ależ nie gniewaj się, głuptasku. Widzisz przecie dobrze, że to las tak się bawi... To nic groźnego, upewniam cię. Zaraz każę tego zaprzestać! — I Magdalena podniosła swą jasną głowę: „Dosyć tej zabawy! Zabraniam wam śmiać się z mego przyjaciela!“ — Widzisz, już po wszystkiem, możesz być pewnym. Spróbuj, żeby się przekonać!

Młody człowiek powtórzył próbę i rzeczywiście żaden dźwięk nie odpowiedział uderzeniu w piersi.

— To rzeczywiście niesłychane! Któż to robił?

Magdalena roześmiała się.

— To tajemnica lasu. Gdybym — ciągnęła z miłym pociągającym uśmieszkiem — gdybym zdradziła jedną z takich tajemnic — natychmiast byłabym przemieniona w źródło.

— Dosyć już dziś płakałam przez ciebie. Chyba nie chcesz, żebym ciągle płakała. Skąd ci przyszła ta myśl prosić mnie o wstążkę? Wiedziałeś, że szukałem jej wczoraj?

— Słyszałem waszą rozmowę w piwnicy.

— Tem gorzej! — rzekła Magdalena, rumieniąc się. — Wolałabym, żebyś nie wiedział o tych brzydkich sprawach.

Po chwili milczenia, Magdalena mówiła dalej z lekkiem westchnieniem:

— To prawda, że albinos przeraża mnie... ciągle włóczy się za mną, ciągle jest koło domu... Nigdy nie mówi do mnie inaczej, jak z wielkim szacunkiem, ale nie lubię, gdy patrzy na mnie swemi oczami. Wreszcie to nic nie znaczy, bo i tak prędko stąd wyjeżdżamy. A więc słyszałeś naszą rozmowę? Słyszałeś, jak mówiłam o zbrodni w gospodzie pod Czarnem słońcem! Ach, mój drogi! tylko nie myśl o tem, co mówiłam wtedy o tobie! Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że to ciebie chciano zamordować.

— W takim razie — zapytał wzruszony Patryk — dlaczego czuwałaś nademną przez całą noc?

— Ach! widziałeś?

— Tak, widziałem was, wszystkie trzy, z drabiną.

— I co pomyślałeś? A ja byłam pewna, że spałeś, że nic nie słyszałeś i dlatego, żeby cię nie niepokoić, nie mówiłam o tem dziś rano i zabroniłam tamtym mówić! I co ty mogłeś pomyśleć? — powtórzyła, głęboko poruszona.

— Że jestem dobrze strzeżony, nic więcej! — skłamał Patryk. — Ale co robiłyście z tą drabiną?

— Opowiem ci, jak było. Ja pierwsza usłyszałam jęki i... imitacyę, doskonałą imitacyę głosu Zoe. Zbudziłam Gertrudę i zeszłyśmy na dół. Miałam w kieszeni rewolwer ojca... byłam przygotowana na wszystko. Na podwórzu spotkałyśmy Zoe... Pomyśl tylko! Dopiero co słyszałyśmy jej głos, wymawiający to straszne zdanie! Ale, powiedz, widziałeś Zoe razem z nami, i słyszałeś jej głos, co pomyślałeś sobie? To mi musisz powiedzieć.

— Czy ja wiem — jąkał się Patryk. — Nic nie myślałem, nic nie rozumiałem, patrzyłem, jak nosiłyście drabinę...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zgon zasłużonego artysty i pisarza.

Teatr lwowski, a z nim cała polska scena poniosła niepowetowaną prawie stratę. Ubył jej pracownik cichy a niestrudzony, który dla niej tylko żył i złączonym był z nią nierozerwalnymi prawie węzłami.

Gdy przed niespełna miesiącem obchodzono we



Zgon zasłużonego artysty i pisarza: Ś. p. Adolf Walewski, artysta sceny lwowskiej, reżyser i autor dramatyczny.

Lwowie jubileusz czterdziestoletniej pracy scenicznej Adolfa Walewskiego, zasłużonego artysty, reżysera i autora dramatycznego, nikt nawet nie przypuszczał, iż tak rychło przyjdzie go pożegnać!

Ciężki bieg życia, które rzadziej miało szczęśliwe chwile, a częściej zato cierpiało głód i niedostatek, idąc w parze z pracą uciążliwą, nieustanną, a w wysokim stopniu denerwującą, stargał powoli jego, zdawało się, niespożyte siły.

Czterdzieści lat pracy scenicznej i autorskiej, spory to szmat czasu, a cały ten okres, z wyjątkiem sześciu lat (1900—1906) spędzonych na deskach krakowskiego teatru, poświęcony był scenie lwowskiej, którą ś. p. Adolf Walewski ukochał całem sercem i bez niej sobie poprostu życia nie wyobrażał!

Za te jego trudy i wysiłki spotkało go w dniu jubileuszu zasłużone uznanie, gdy jednak na scenie zasypywano go kwiatami, artyści musieli podtrzymywać kolegę całą siłą, aby nie upadł, poza kulisą czekał zaś lekarz...

On wówczas płakał ze wruszenia i obiecywał sobie, że teraz weźmie się do pracy z tem większą gorliwością, aby się wywdzięczyć społeczeństwu. Niestety, nieubłagana śmierć w puch rozwiała te nadzieje i marzenia, zabierając teatrowi polskiemu jednego z najznakomitszych i najgodniejszych przedstawicieli.

Z okazyi jubileuszu pisaliśmy już na tem miejscu o życiu i zasługach ś. p. Adolfa Walewskiego, dziś ograniczymy się do tych kilku słów żałobnego wspomnienia o tym, który całe swe życie poświęcił pracy nie dla siebie, lecz dla ogółu i odchodzi dziś na wieczny spoczynek, którego nie zaznał za życia!

Cześć jego pamięci!

Pablo Casals.

Nazwisko mało znanego do niedawna wiolonczelisty hiszpańskiego w krótkim stosunkowo czasie opromieniła tak wyjątkowa sława, że dziś nikomu, choć trochę zajmującemu się muzyką, nie może ono być obcem. Casals stanął w rzędzie najpierwszych wirtuozów świata, a jest wielu muzyków, którzy nie wahają się nazywać go najwyższem zjawiskiem we współczesnej sztuce odtwórczej. „Geniusz muzyczny, który przypadkowo gra na wiolonczeli“ jak o nim powiedział krytyk wiedeński M. Kalbeck. Toteż wszędzie, gdzie Casals przybywa, brakuje biletów na długo przed koncertem. W Wiedniu, gdzie grał 24 listopada, rozchwytano wszystkie miejsca w dwa dni po rozpoczęciu sprzedaży i to do wielkiej sali Tow. Muz., mieszczącej 2000 osób. Drugi zapowiedziany koncert wysprzedano również w ciągu kilku dni. A taksamo, jak w Wiedniu, jest wszędzie. I wszędzie ten sam zachwyt budzi skończona w każdym kierunku doskonałość gry tego wyjątkowego artysty, z której, jak trafnie powiedziano, „przemawia sam żywy duch muzyki“.



Pablo Casals, znakomity wiolonczelista (w środku) ze swymi przyjaciółmi A. Cortot (na lewo) i J. Thiband.

Fotografia zamieszczona w dzisiejszym numerze przedstawia Casalsa w otoczeniu skrzypka J. Thibaud i znakomitego pianisty A. Cortot. Z tymi oboma swoimi przyjaciółmi daje się Casals słyszeć kilkakrotnie co roku na wiosnę w Paryżu w wieczorach triowych. O bilety na te wieczory staczają się formalne bitwy. Niestety! poza Paryżem tego niebywałego zespołu nigdzie słyszeć nie można, bo byłby... nie do opłacenia.

Jubileusz zasłużonego pedagoga.

Grono nauczycielskie gimnazyum jasielskiego uczciło uroczystym obchodem 30 letni jubileusz pracy pedagogicznej i obywatelskiej dyrektora Józefa Leliwy Słotwińskiego. Jubilat ur. w r. 1856 w Głobikowej, w ziemi tarnowskiej, ukończył gimnazyum w Tarnowie. Po ukończeniu wydziału filozoficznego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie i po złożeniu podwójnego egzaminu profesorskiego: z filologii klasycznej i polonistyki, pracował jako nauczyciel gimn. w Stanisławowie, Sanoku i Lwowie. Od lat dwunastu był dyrektorem gimn. w Jaśle, jednając sobie rzetelną pracą nad młodzieżą i prawością charakteru ogólny szacunek. W uroczystościach jubileuszowych wziął też udział liczny zastęp publiczności jasielskiej i z okolicy.

Zbrodniarz, czy obłąkany?

W sądzie obwodowym rzeszowskim rozpatrywano z końcem ubiegłego miesiąca sprawę niezwykłego indywiduum, które ze sądami w Galicyi, na Śląsku i Morawach miało wiele do czynienia, należy nawet do tak zwanej „arystokracyi“ wśród zbrodniarzy, może się bowiem wykazać i pięcioletniem ciężkiem więzieniem za rabunek.

Jest to niejaki Kazimierz Chochrek, były posługacz, czy błazen, w cyrku Sidollego, później pomocnik oprawcy w różnych miastach galicyjskich i bukowińskich, wreszcie handlarz obrazów z Jerozolimy i „turysta z Rumunii“.

W r. 1904 poddano go badaniu psychiatrów w Krakowie, a lekarze, dr. Schaitter i Zoll, uznali go wówczas za człowieka zdrowego na umyśle, który tylko niedołężnie usiłuje nadawać sobie pozory peryodycznego waryactwa. Na podstawie tego orzeczenia wydano wówczas wyrok zasądzający.

Odcierpiawszy karę, zginął Chochrek z widowni, wypłynął jednak bardzo prędko jako podejrzany o szereg podpaleń, których dopuścił się w różnych miejscowościach Galicyi: koło Błażowej, Rozwadowa i Wiśnicza. Podpalał, gdy mu odmówiono jałmużny, nie zdając sobie sprawy, jaką w ten sposób krzywdę wyrządza biednym wieśniakom.

Podejrzenie okazało się uzasadnionem, gdy w Muchówce pod Wojniczem przytrzymano na gorącym uczynku sprawcę pożaru. Udało mu się umknąć, pozostawił jednak w ręku ścigających płaszcz, a w kieszeni jego znaleziono drukowane ogłoszenia Chochreka.

Aresztowano go dopiero w czerwcu w okolicy Rozwadowa, usiłował umknąć z więzienia, gdy to mu się nie powiodło, udał samobójstwo, raniąc się powierzchownie w szyję. Niezwykłe zachowanie się Chochreka skłoniło sąd do zarządzenia zbadania stanu umysłowego podpalacza, a krakowscy psychiatrzy, prof. Wachholz i dr. Jankowski wykluczyli poczytalność i orzekli, że oskarżony dopuścił się czynów zbrodniczych w stanie obłąkania w okresie epileptycznego zamroczenia.

Na podstawie tego orzeczenia zaniechała prokuratorya dochodzeń przeciw Chochrekowi, który udał się do rodzinnej Błażowej, gdzie zaraz po jego przybyciu wybuchł pożar...

Żandarmeryi udało się przytrzymać sprawcę, ponieważ zaś znawcy rzeszowscy, dr. Schaitter i dr. Fijałkowski, orzekli, że jest on w zupełnem posiadaniu władz umysłowych, a stan, jaki przedstawia, jest sztucznym tak w całości jak i w szczegółach, trybunał rzeszowski wymierzył mu karę dwunastoletniego ciężkiego więzienia, obostrzonego postem i ciemnicą.



Zbrodniarz, czy obłąkany: Podpalacz, Kazimierz Chochrek z Błażowej (w r. 1904).



Zbrodniarz, czy obłąkany: Podpalacz, Kazimierz Chochrek z Błażowej (w r. 1911).

Kronika tygodniowa.

Wbrew oświadczeniom fizyków, iż w zimnie zmniejszają wszelkie ciała swą objętość, czyli innemi słowy kurczą się, nasz poczciwy Kraków jest wyjątkiem z tej reguły, gdyż pomimo nastania mrozów znowu się rozszerzył, albowiem przyłączenie Płaszowa otrzymało sankcyę cesarską. Ma to być jeden z macków, otaczających Podgórze, aby je wessać w ciało rozszerzonego polipa... *pardon*... chciałem powiedzieć Krakowa.

Płaszowianie cieszą się, spodziewając się różnych pięknych rzeczy z tej racyi, gazu, elektryki, wodociągów i kanałów, może nawet dróg i chodników asfaltowanych, na razie jednak będą musieli zadowolić się tylko honorem, że choć mieszkają w Galicyi, są przecież Wielkokrakowianami, że wybiorą jednego ze swych obywateli, który będzie zastępował ich interesy w krakowskiej Radzie miejskiej i że często będzie ich odwiedzał miejski egzekutor.

Na resztę przyjdzie kolej dopiero później.

A w tym rozszerzonym Krakowie coraz rojniej w handelkach, gdyż tutaj uprawia się przeważnie wielkoświatową politykę. Bo też nielada klina zabił im w głowę ów polityczny astrolog, który przepowiada, że wojna wisi na włosku i to wielka wojna europejska, która powinna wybuchnąć, jeśli nie w roku 1912, to z pewnością w 1913 lub 1914.

Rok 1912 ma być rokiem feralnym, gdyż poprzeczna suma jego cyfr wynosi trzynaście, a tej liczby boją się wszyscy, a najbardziej niżej niepodpisany, który właśnie trzynastego wstąpił w związki małżeńskie i co najmniej trzynaście razy codziennie ten jedyny fałszywy krok w swem życiu gorzko opłakuje...

Z doniesień pism politycznych dowiedzieliśmy się, że już w bieżącym roku staliśmy w przededniu wojny, do której parła wiedeńska partya, t. zw. „Belwederczyków“. Starcie nastąpić miało na południowej granicy monarchii, wrogiem był nie kto inny, jeno... *risum teneatis* kolega z trójprzymierza, zbierający daktyle w Trypolisie i polujący tam na nasze poczciwe bociany, które nie spodziewały się nawet tak „gorącego“ przyjęcia w swej drugiej ojczyźnie. Powiadają korespondenci pism angielskich, bawiący na terenie wojny, iż z powodu braku innej żywności Włosi polują na nie z zaciekłością, na jaką zdobyć się mogą tylko namiętni południowcy. Wybierają zaś przeważnie przynależne do Austryi, wierzą bowiem, że w ten sposób zmniejszą przyrost ludności w kraju swego wroga, któremu zabraknie potem rekrutów i zapewnią sobie ewentualne zwycięstwo, gdyby kiedyś przyszło do czego. Protestował przeciw temu austryacki konsul w Trypolisie, Włosi jednak widocznie niewiele robią sobie z tego, skoro nawet austryackiemu attaché wojskowemu, przydzielonemu do swej głównej kwatery, czynili takie wstręty, iż musiał stamtąd wyjechać i nie może na własne oczy oglądać „tryumfów“ sprzymierzeńców!...

Powodem pojawienia się pogłosek o wojnie austryacko-włoskiej była dymisya szefa sztabu jeneralnego, Conrada-Hötzendorfa, który we Wiedniu narobił już dość „hec“ różnego rodzaju.

Nie tak dawno temu musiał ustąpić minister wojny, bar. Schönaich z powodu „różnicy zdań“, jaka powstała pomiędzy nim a szefem sztabu, obecnie przyszła kolej na hrabiego Aehrenthala i jego zewnętrzną politykę.

Z tym jednak nie poszło tak łatwo, jak z tamtym. Aehrenthal pozostał na swem stanowisku, a jenerał Hötzendorf musiał ustąpić i zrobić miejsce innemu, usposobionemu mniej wojowniczo. Był on zresztą zdeklarowanym wrogiem nowej ustawy wojskowej, sprzeciwiał się zaprowadzeniu dwuletniej służby i domagał się i bez tego ustępstwa dalszego podwyższenia kontyngentu rekruta.

Żądania coraz to dalszych kredytów na zbrojenia, rodziły się także przeważnie w jego kancelaryi, każdy minister skarbu aż żegnał się z przestrachu, gdy mu kto wspomniał o szefie sztabu jeneralnego.

Z tej to kancelaryi sztabowej wychodziły za ery Conrada najrozmaitsze komunikaty do dzienników wiedeńskich, mające na celu wpływanie na opinię publiczną i wyrobienie wrogiego dla Włoch nastroju. Kierowano się zasadą, że szef sztabu jeneralnego powinien mieć decydujący głos i w sprawie polityki zagranicznej monarchii.

Doszło wreszcie do tego, że gdy hr. Aehrenthal zapewniał cały świat o neutralności Austryi *ex re* wojny włosko-tureckiej, jenerał Conrad postanowił równocześnie wyzyskać kłopotliwe położenie sąsiada, zażądać od niego wyjaśnień co do koncentrowania wojsk na granicy austryackiej, ewentualnie zaś ich cofnięcia. Gdyby zaś to nie nastąpiło, zalecał wojnę z Włochami. Temu jednak sprzeciwił się hr. Aehrenthal, jedynie odpowiedzialny kierownik polityki zagranicznej, a po jego stronie stanął i cesarz.

Wobec tego pojedynek pomiędzy Aehrenthalem a Conradem wyszedł na korzyść tego pierwszego. Conrad legł na placu boju, a następnie uwolniony został „w łasce“ z szefostwa sztabu i zamianowany jeneralnym a właściwie „najjeneralniejszym“ inspektorem armii austryacko węgierskiej, a podobno i upatrzonym na przyszłego jej wodza w razie starcia z Włochami.

Prasa austryacka zapatruje się rozmaicie na to wydarzenie, część jej staje po stronie ministra spraw zagranicznych, druga zaś atakuje go ostro i namiętnie i zapowiada, że dni jego są policzone! Nasi wiedeńscy politycy nie zajmują się tem prawie zupełnie, żaden z nich nie aspiruje do godności ministra spraw zagranicznych, bo tu trzeba mieć głowę na karku, a samemu mało się dla siebie osiąga korzyści.

Zresztą uwagę Koła Polskiego zaprzątają obecnie toczące się rokowania w sprawie ugody polsko-ruskiej, które, szczerze mówiąc, nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Biorą w nich udział z jednej strony Polacy, z drugiej tylko przedstawiciele partyi ukraińskiej, przeciwko więc jednostronnemu prowadzeniu układów protestują starorusini i radykali. Każda z tych frakcyi radaby zyskać dla siebie jak największe korzyści, o ustępstwach jakichś nikt nie myśli. Od Polaków żąda się wszystkiego dla siebie, nic w zamian nie dając.

Ponadto zajmują się posłowie coraz energiczniej sprawą kanałową, która trafia ciągle na najrozmaitsze niespodziane przeszkody. Wiedeńczycy, będący dotąd jej wrogami, przyszli do przekonania, że kanał musi być i to nie tylko galicyjski, ale także Dunaj Odra-Wisła i oświadczają, że nie zgodzą się na żadne rekompensaty, tymczasem znów interesowani ministrowie obliczyli, że jeśli będą chcieli wszystkich zadowolić kwotą przeznaczoną na budowę kanałów w Galicyi i zatkanie gęby innym krajom koronnym, trzebaby z trzystu milionów podnieść ją na sześćset. Rząd skłonny jest wprawdzie do podniesionia jej, ale tylko o pięćdziesiąt milionów i w tem właśnie nowy sęk.

Tymczasem w krakowskiej ekspozyturze dyrekcyi dróg wodnych, odbyło się otwarcie ofert na budowę kanału na przestrzeni Zelczyn-Kosów, z końcem zaś miesiąca rozpocznie się faktycznie budowa, zainaugurowana wspaniałą uroczystością, w której wezmą udział reprezentanci władz rządowych, autonomicznych i tak dalej, kto wie, czy nie zjedzie nawet bodaj jeden minister, choćby nawet i rodak.

W dalszym ciągu wentyluje się ustawę urzędniczą w różnych komisyach, komitetach i subkomitetach i jak zwykle przychodzi się do konkluzyi, że przedłożenie rządowe wymaga poprawek i potrzebne są jeszcze dalsze rokowania z rządem, które z zasady przeciągają się w nieskończoność, choć ze stron kompetentnych zapewniają, że one już się toczą i „prawdopodobnie“ niebawem będą ukończone.

„Błogosławieni cierpliwi“ — powiada Pismo św., bądźmyż więc i my cierpliwymi.

Nie daje także spokoju sprawa kontyngentu wódczanego i bonifikacyi gorzelnicznych, którą konserwatyści uważają za atak przeciw sobie wymierzony, demokraci zaś różnych odcieni (z wyjątkiem tych, którzy są właścicielami gorzelni), radziby ją jak najprędzej przeprowadzić. Czy to wogóle zda się na co, trudno przewidzieć, wszakże i bydło tanieje od czasu do czasu, w miarę zaś tego drożeje ustawicznie mięso. Choć więc bonifikacye zniosą, wódka z pewnością nie potanieje a usiłowania pp. Diamanda, Wróbla i hr. Lasockiego pójdą na marne. A szkoda! Co najwyżej upije się ze zmartwienia ten lub ów obszarnik, ale z pewnością nie na demokratycznej wódeczności, lecz na arystokratycznym szampanie.

Taki byłby mniej więcej ogólny obraz sytuacyi politycznej w naszej c. k. szerszej ojczyźnie. Jak ziemia obraca się podobno koło swej osi (gdyż na to bym nie przysięgał, choć mnie tak ongiś uczono w szkole), tak znów Austrya kręci się koło dwu kontyngentów: rekruciego i wódczanego, a stara się koniecznie ominąć kanały. Ogólną radość obudziła okoliczność, iż w wigilię św. Andrzeja ulała nam się figa, to jednak, dzięki naszym reprezentantom we Wiedniu, stale się co rok powtarza, mieliśmy więc już czas przyzwyczaić się do tego.

Także i święty Mikołaj nie dopisał, obdarzył nas bowiem tylko rózgami i to zrobionemi ze starej miotły, gdyż na lepsze w czasie ogólnej drożyzny i jego nie stać, rozkrwawiła nam serce także Barbara, która, jako „będąca po lodzie“, przepowiada mokre Boże Narodzenie.

Jak z tego widać, wszystko spiknęło się na nas, wogóle można w zastosowaniu do Galicyi powiedzieć, że wiedzie się nam, jak cyganowi rola, bo chyba zbytnio nie pocieszą nikogo powtórzona za sztokholmskim *Aftonbladetem* przez wszystkie nasze konserwatywne pisma wiadomość o związku małżeńskim hr. Ludwika Badeniego z panną Alicyą Ancarcrona, która pochodzi „w dwunastym stopniu od króla Gustawa Wazy, w jedenastym od Jana III, w dziesiątym zaś od tegoż córki Zofii, małżonki feldmarszałka Pontusa de la Gardie“. Bardzo to pięknie, że hrabia Ludwik się ożenił, nie widzę jednak powodu, byśmy związek ten mieli uważać za jakieś zdarzenie o pierwszorzędnem znaczeniu narodowem.

Raczej powinny rozradować każdego wieści nadbiegające z Wiednia o politycznych bankietach, jakie urządza Koło Polskie. Przy szklance i kieliszku rozwiązują się zazwyczaj języki i człowiek nabiera ochoty do szlachetnych czynów, może więc bodaj teraz doczekamy się, że nasi posłowie zajmą się losem swego kraju.

Pierwszy taki bankiet polityczny odbył się w sali Riedhofa. Wydał go ekscellencya Biliński na cześć ministrów rodaków, Zaleskiego i Długosza.

(Szkoda że stawetna komisya aprowizacyjna naszego grodu nie posłała „własnych ziemniaków“ na ten bankiet, mniej by ich w tęsknem oczekiwaniu konsumentów uległo rozkładowi gnilnemu i hurtownej sprzedaży... na nawóz. *Przypisek prawdziwy zecera).*

Przy szampanie narzekano na biedę, jaka nas nęka i postanowiono oglądać się za środkami zaradczymi, kadzono sobie wzajemnie i podnoszono zasługi już położone i położyć się dopiero mające, szczególniejsze zaś wrażenie wywołał toast dra Łazarskiego „Kochajmy się“, który spełniono duszkiem, przyczem poseł Stapiński spoglądnął z uwielbieniem w stronę ekscellencyi Bilińskiego, ten zaś przesłał mu w powietrzu serdecznego całusa.

Następny festyn urządza nowy minister Długosz dla członków Koła Polskiego i innych mężów politycznych, nie wiem jednak dokładnie kiedy, gdyż dotąd nie otrzymałem zaproszenia.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 47.

Szarada: Kalosze.

Zadanie konikowe:

Boleść nie rodzi nic, krom aureoli
I krom tych skrzydeł, co na nic są żywym,
Siły się malą, gdy duch męki boli,
Więc tylko zgrzytem zadźwięczeć straszliwym,
Zgrzytem uchwycić za to ostre doli
I jako ono być nielitościwym.

Łamigłówka: Introligator.

Trojkąt magiczny:

S
T o ń
M a k ó w
B l e r i o t
B a l l a d y n a
P o w r ó t p o s ł a
P a ń s k i e d z i a d y
S o f o k l e s T e z e u s z

Zagadka przysłowia: Nie kupuj kota w miechu.

Bilety wizytowe: Magazynier. Radny miasta.

Łamigłówka:

Zan
Men
Ito
Aga
Nos
Ara
Goa
Ali
Bej
Iwa
Noe
Ewa
Ton
Udo
Wór
Aza
Ule
Sen
Tor
Ryk
Yak
Ika

Szarada: Stolica.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. J. Raczyński Kołomyja, K Stefański Lwów, M Rychlik Jasło. S Sokołowski Kraków, Z Dębiński Lwów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, J. Solecki Kraków, R. Madejski Lwów, T. Biliński Tarnów, K Kaim Kraków, S. Rogowski Kołomyja, J. Lisowski Krosno. D Engelberg Rzeszów, A. Gralewski Kraków, J. Czarkowski Ubnów, J. Kozicki Stanisławów, L Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, W. Wojciechowski Lwów. K Karpowicz Wiedeń, J Popiel Kijów, M Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, H. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Sandomierz, F. Knopf Jarosław, H. Wysoczański Petersburg, H Obst Warszawa, J. Scholz Rozwadów, A Dużak Kraków, J Walter Podwołoczyska, K. Misińska Złoczów, J. Śliwiński Brzostek, D Ligęza Tarnów, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnobrzeg, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S Wiewiórowski Warszawa, M Krawecki Przemyśl, J. Nowacki Lwów, H Chmurowicz Lwów, J. Orzechowski Kalisz, K. Janik Drohobycz, K. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, D. Dorożyński Odessa, C Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, J Sadowski Kraków, A. Biliński Tarnów, J. Jahoda Cieszyn, K. Balicki Sandomierz, J. Świrski Sandomierz, K. Bandrowski Częstochowa, J Kwaśniewski Piotrków, J Antosz Kołomyja, S Radomski Czerniowce, R. Bäterfeind Kołomyja, M. Więckewska Warszawa, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, S. Osadowski Rawa, H. Topolnicki Kamieniec, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, H. Czyżowska Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H Trojacki Wiedeń, J Biechońska Stanisławów, S Lindenbaum Czerniowce. S. Galiński Sandomierz, K Radoszewski Kolbuszowa, J. Zachara Krosno, M. Wyka Rzeszów, K. Król Kołomyja, W. Potocka Kraków, J. Wilczkiewicz Krosno, S Karwowski Kraków, H Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, M. Kalinowska Piotrków, W Thun Warszawa, J. Stanisławski Czerniowce, A Kosiński Kolbuszowa, M Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, M. Sikorska Stanisławów, J Lichański Warszawa, T. Mazaraki Radom, D Rosenbaum Tarnów, B Zbigniewicz Kraków, J Trepka Sanok, J. Broda Rzeszów, H. Górska Lwów, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S Krzyżanowski Podgórze, M Kot Sambor, D. Łopatyński Kraków, S Jasiński Rzeszów, S. Maciejowska Winnica, R. Bukowski Kijów, Z Sperling Wiedeń, E Bogdalska Koropuż, M Arbesbauer Lwów, A Lorencki Warszawa, K. Fuchs Czeremchów, J. Gawroński Petersburg.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Topolnicki, Kamieniec.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

— **Rodacy!** W styczniu r. b. kupiliśmy w Bytomiu na Górnym Śląsku dom połączony z wielką salą i ogrodem, aby polskie towarzystwa mogły swe posiedzenia odbywać i w kierunku narodowym się rozwijać. Policya pruska odebrała koncesyę i pomimo wszelkich zażaleń do ministra ociąga się z nadaniem takowej. Wobec tego nieprzewidzianego ciosu, byt domu narodowego jest zachwiany i dlatego udaję się z prośbą do ofiarności współbraci Wszelkie datki pieniężne proszę nadsyłać pod adresem: Michał Wolski, aptekarz, Bytom — Beuthen O. S.

Konkurs Kraj. Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk. Celem podniesienia ruchu naukowego w dziedzinie balneologii ogłasza niniejszem Krajowy Związek Zdrojowisk i Uzdrowisk Konkurs na prace naukowe, na następujące dwa tematy a mianowicie:

1) Zestawienie działalności jednej z rodziny wód mineralnych z równorodzajową wodą pozakrajową.

2) Zróżniczkowanie wskazań do stosowania mechanoterapii w zdrojowiskach krajowych

Termin nadsyłania prac oznacza się do 3 maja 1912 r.

Najlepsze dwie prace na tematy powyższe otrzymają każda po 500 koron nagrody.

Prace nagrodzone, wydrukowane będą nakładem Krajowego Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk w „Naszych Zdrojach" zaś 500 odbitek stanowić będą własność autora

Prace należy nadsyłać pod adresem Zarzadu Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk (Lwów, Czarnieckiego 6) z zachowaniem zwykłych form konkursowych t. j. nazwiska autorów i miejsca ich zamieszkania mają być dołączone w osobnych kopertach zapieczętowanych, opatrzonych dewizami

Co do prac nadesłanych a nie nagrodzonych zastrzega się prawo pierwszeństwa dla Krajowego Związku Zdrojowisk i Uzdrowisk do ogłoszenia ich w „Naszych Zdrojach" za poprzedniem porozumieniem się z autorem co do honoraryum.

Wycieczkę sankami do Morskiego Oka urządza Sekcya wycieczkowa krakowskiego Ogniska naucz. w dniach 6—7 stycznia 1912 Koszta wycieczki. obejmujące bilet z Krakowa do Zakopanego i z powrotem. kolacyę, śniadanie, obiad, nocleg w Zakopanem i sanki, wynoszą 21 Koron (dwadzieścia jeden K) od osoby. Nadwyżka tej kwoty jest stanowczo wykluczona. Liczba uczestników jest ograniczona. W wycieczce mogą brać udział osoby z poza sfer nauczycielskich.

Zgłoszenia uskutecznia się przesłaniem zadatku w wysokości 10 K. do 22 grudnia 1911 r Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacyi udziela p Kazimierz Golachowski Kraków, Loretańska L. 16. Na pisemne odpowiedzi należy markę za 10 h. dołączyć.

Z Cyrku Edison: Program obecny celuje przedewszystkiem doborem tematów aktualnych z wojny włosko-tureckiej Dramat historyczny p. t „Oblężenie portu Calais w r. 1347". odegrany przez najlepszych artystów paryskich, zaleca się sam tak tematem jak i wykonaniem. Kilka komicznych zdjęć dopełnia pomysłowego tego programu.



NOWO OTWARTY MAGAZYN OBUWIA
ZDZISŁAW ZDANOWICZ
KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516.

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.



Pierwsza krakowska fabryka lalek oraz klinika Kraków, Wolska 1. Cennik na żądanie.

Wybór, wyrób i ceny bez konkurencyi!

Polecamy na

św. Mikołaja i Gwiazdkę

następujące

LALKI skórzane z blaszaną głową
LALKI z włosami prawdziwymi
LALKI drewniane ręcznej roboty
LALKI w krakowskich strojach
LALKI mówiące „mama"
LALKI z figurą do nauki kroju i szycia
LALKI do pokoików dziecinnych
i 1000 nowości w lalkach i zabawkach.

Wysyła za zaliczką każde zamówienie.

Proszę żądać



darmo i opłatnie mego bogato ilustr. głównego katalogu z 4 tysiącami rycin zegarków, wyrobów złotych, srebrnych, instrumentow muzycznych, wyrobów stalowych i skórzanych, towarów galanteryjnych i broni

c. i k. nadworny dostawca

Hanns Konrad

w Brüx Nr. 2902 (Czechy).

Prawdziwy szwajcarski zegarek Nickel-Anker-Remontoir, system Roskopf-Patent K. 5, 3 sztuki K. 14. Rejestr. „Adlers-Roskopf" Nickel-Anker Rem. K. 7· Prawdziwy srebrny zegarek Remont. otwarty K. 8·40.

Bez ryzyka! Zamiana lub zwrot pieniędzy.

HELDOLANA

światowej sławy **mydło** piękności wspaniałej. **Zupełnie nieszkodliwe.** — Usuwa wszelkie **piegi, zmarszczki, pryszcze, plamy** i t. d., i nadaje cerze **świeżość i gładkość.** Cena za puszkę z opisem K 1·50.

Do nabycia we wszystkich aptekach i drogueryach. Składy we Lwowie w aptekach: Z. Ruckera, H. Blumenfelda, J. Pinelesa, K. Dütla i J. Jezierskiego, oraz w drogueryach: J. Rechena, Halicka 21 i H. Grünspana, Gródecka 23.

Piękności



i taniości moich artystycznych kart widokowych, nie dorównała dotąd jeszcze żadna inna firma.

Zawsze nowości w kartach. artystycznych, z pięknościami kobiet, seryach scen miłosnych, dzieci, kwiatów, rajobrazów, kart na Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc, Zielone święta, urodziny i imieniny w bardzo pięknem, artyst. wykonaniu.

10	szt.	sort.	opłatnie	K	—·45
20	„	„	„	„	—·70
50	„	„	„	„	1·60
100	„	„	„	„	3·—
200	„	„	„	„	5·20
500	„	„	„	„	12·60
1000	„	„	„	„	24·—

Wysyłka wprost do ludzi prywatnych. Wysyła po otrzymaniu z góry należytości, zamówienia wyżej 2 Kor. za zaliczką.

C. i k. nadworny dostawca

Hanns Konrad Dom wysyłk. **w Brüx Nr. 2939 (Czechy)**

Żądaj Pan bogato illustrowanego katalogu głównego z 4000 odbitek darmo i opłatnie.

Baczność!

100.000 par bucików do sznurowania

4 pary bucików tylko Kor. 10·—

Skartelowanie się naszych konkurentów spowodowało naszą Centralę do **wydania specyalnej oferty** dla ludzi **prywatnych** i dlatego sprzedajemy każdemu **2 pary męskich i 2 pary damskich bucików skórkowych** do sznurowania, brązowych lub czarnych, nadzwyczaj eleganckich, fason najświeższy, wielkość wedle podanego numeru za **4 pary razem tylko Kor. 10·—.** Wysyła za zaliczką

Schuhzentrale w Oświęcimiu

Austrya.

Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.



Mężczyźni!

Choroby nerwowe

można przez używanie najnowszego, powszechnie uznanego, we wszystkich państwach prawnie zastrzeżonego „Mannerheil" aparatu (Syst. prof. Biera) w nadzwyczajnie krótkim czasie bez przeszkody w pracy zawodowej i pomocy kogoś drugiego zupełnie usunąć. Polecane przez lekarzy. Za sztukę wraz z przepisem używania K. 24·—, za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należności wysyła Główny skład dla Austryi i Węgier:

Hygieniczny dom towarowy

Henryk Bornstein

Wiedeń I., Rotenthurmstr. 13 G.

Potrzebuje Pan broni?



Na polowanie, dla sportu, ogrodu lub obrony? To zażądaj Pan natychmiast cennika Nr. 86 znanej w całym świecie bardzo rzetelnej firmy **A. Antonitsch, fabryka broni, Ferlach (Karyntya).** Bezpłatnie! Werndla strzelby dla piechoty do polowania K 7·50. Takie same obcięte do formy karabinu i ostrzelane K 12·—. Takie same do śrutu, kalibru 28, K 13·50. Do nich naboje najtaniej.

Kinematograf familijny razem z Latarnią magiczną



23 cm wysoki z **6 obrazami (filmami) i 12 szklanymi dla latarni magicznej z około 120 rozmaitymi obrazami, lampą naftową, reflektorem** i sposobem użycia, kompletny w kartonie **K 8.**

Tym kinematografem można rzucać na ścianę czarowne, tak przez młodych i starych ulubione żywe obrazy. Mechanizm jest bardzo dokładny i łatwy, tak że każde dziecko z łatwością może go opanować. Tanie kinematografy, jakie konkurencyjne firmy zachwalają za sztukę **K 3·20** i **K 6·—.** — Wysyła za zaliczką

J. H. RABINOWICZ

WIEDEŃ VII, Lindengasse 2. N. K.

BIUST

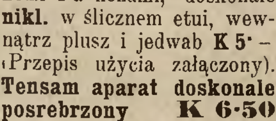
stanowi ozdobę każdej kobiety, tylko nie jest u każdej należycie rozwinięty, wskutek czego kobiety w każdym wieku tracą wiele ze swej urody. Starają się w różny sposób temu zapobiedz. W pierwszym rzędzie różni wytwórcy polecają swoje preparaty do wzmocnienia biustu. Te we wszystkich gazetach szumnie zachwalane środki, są zwykle bezwartościowe, o czem się przeważna część próbujących pań sama przekonała. Jest całkiem jasne, że za 1 lub 2 korony nikt niczego nie może dostarczyć, coby choć częściowy skutek sprowadziło. Wszystkie te środki obliczone są na wyzysk P. T. Publiczności i jej nieświadomość. Pozwalam sobie polecić P. T. Paniom, środek, który **życzony cel osiąga:** jedyny w swoim rodzaju.

Używanie jego tylko zewnętrzne. Działanie jest tak ogromnie szybkie, że nawet u starszych kobiet spostrzega się już po najkrótszym czasie. Młodsze kobiety zdumiewa ten środek w prawdziwem tego słowa znaczeniu. „Louvre" jest środkiem bez porównania. Jedna jedyna flaszka wystarcza w zupełności i kosztuje 6 K.

Wysyłka nieznaczna bez podawania zawartości, za zaliczką.

J, KUKLA, Praga, ulica Perlowa L. 162.

Brzytwy na próbę, doskonale szlifowane z wydrążeniem z białemi, z kościanemi miseczkami w etui, nadające się do każdej brody **K 1·80**



Aparat bezpieczeństwa do golenia z 6-oma obosiecznemi I-a nożami, doskonale **nikl.** w ślicznem etui, wewnątrz plusz i jedwab **K 5·—** (Przepis użycia załączony). **Tensam aparat doskonale posrebrzony K 6·50**

Wysyłka franco za poprzedniem nadesł. należytości. (Zaliczka o 45 hal. więcej). Gwarancya: Zamiana lub zwrot pieniędzy.

Duży katalog darmo i opłatnie.

Emil Bangert, Eger (Czechy)

Dom wysyłkowy solingerowskich towarów stalowych.



Tylko wprost

z Pierwszej śląskiej fabryki

„SUDETIA"

Jägerndorf 17 (Sląsk austr.)

kupujcie materyały na ubrania

dla Panów i Pań jakoteż i

śląskie płótna

najlepszego gatunku po najtańszych cenach fabrycznych

Zachwycające nowości sezonowe! — Resztki za bezcen.

Prosimy zażądać wzorów!

Prosimy zażądać probek.

Barchanów, flanel, materyi modnych, wypraw, płócien, damastów, kanafasów i t. d., same nowości, które wysyła franco znany zaszczytnie

Dom wysyłkowy

H. J. Havlicek & Brat

Podebrady (Czechy).

Wysyłamy również pakiet resztek 40 metrów materyi letnich i zimowych, do prania, wysortowanych, po 1—8 metrów, tylko za **18 K** franko za zaliczką. Kupno okolicznościowe! Nadzwyczaj tanio!

Transport sanek i nart na rok 1912.



Narty, Sanki,
Bobbsleigh, Ubrania, Sweatery, Sztuce, Czapki, Rękawice, Obuwie, Przybory turystyczne i t. d.

poleca **Magazyn Uniwersalny**

Roman Drobner

Cenniki ilustr. darmo : : Tow. sportowe otrzymują rabat.

Adres telegr.: Magazyn Drobnera, Kraków.

Telefon międzymiast.: 415.

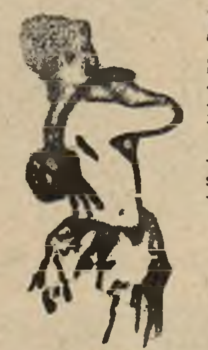
Kraków.

PERFUMY, KREMY, PUDRY, MYDŁA

z najsłynniejszych fabryk.

Nowość! **„PNEUMO“** Nowość!

aparat do masażu pnematycznego polecany przez **Dra Lustra** specyalistę lekarsk. kosmetyki i chorób włosów



Krem La Secret d'Orsay
„ Liliowy Simonsa
„ Radium Colse
„ Secret de Bonne
„ F. Guerlain
„ Floreine
„ śniegowy
w tubach po **80 hal.**

Środki wybielające twarz, ręce i biust.
Płyny liliowe i ogórk.
Eau Virginale, Waitzer
Nice.
Ninon.

Wody na włosy:
Tarool firmy Brabant
Shampo-Tarol „
Tetralix wyciąg fiołków
Radiol firmy Colse
Tetral „ Tisotta.
Perfumy, mydła, pudry w pięknych, ozdobnych kasetkach prakt. na podarki.
wszelkie nowości kosmetyczne i hygieniczne ogłaszane i polecane w pismach kraj. i zagranicznych zawsze na składzie.

OZDOBY NA DRZEWKO!!!

Dekoracye komplet. do ubrania drzewka od kor. 2·—
Gwiazdy i ozdoby z lamety, szkła, papieru, waty, żelatyny.
Kule szklane
Girlandy kolor.
Aniołki i lampiony na drzewko
Szopki, stajenki
Pozłótka złota i srebrna



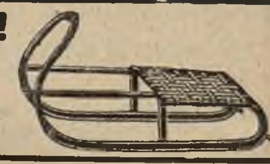
Dyamentyna i śnieg błyszczący
Świeczki woskowe, stearynowe i kolorowane
Kotwiczne skrzynki budowlane F. A. Richtera
Kompl. **kasetki** do robót snycerskich
Farby artyst. i wszelkie przybory dla pp. Artystów i Amatorów

polecają najtaniej

Reim i Ska, Kraków

Rynek 37, Linia A-B.

SPORT ZIMOWY!!!



SANKI różnych systemów
NARTY (ski) oraz wszelkie przybory sportowe.



APARATY GIMNASTYCZNE

angielskie, systemu Antogymnast Whitely, Sandow's i inne polecone przez największe powagi lekarskie do wyrobienia siły i muskularnych kształtów ciała.

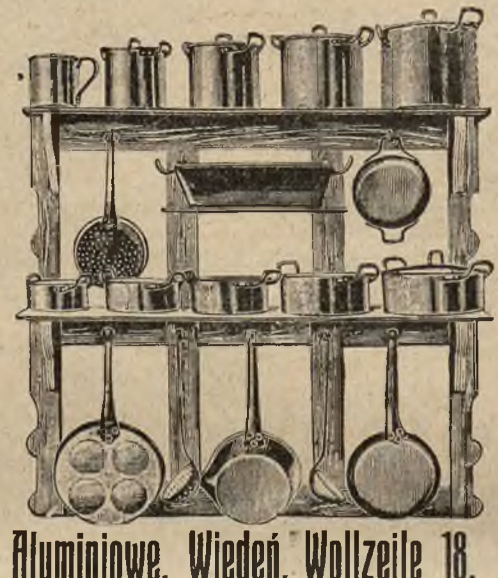
Kalosze oryginalne rosyjskie i amerykańskie.
w największym wyborze.



Czyste aluminium

Piękne! Zdrowe! Trwałe!

Kompletny garnitur kuchenny K 40
25 szt. w każdem gospodarstwie niezbęd. przedmiotów
Duży garnitur kuchenny K 60
gatunek ciężki II.
Pański garnitur kuchenny K 100
nadzwyczaj ciężki gatunek III.





Wielki illustrowany cennik na
1. naczynia kuchenne
2. sprzęty gospodarcze
3. nakrycia stołowe
4. artykuły toaletowe
5. praktyczne nowości

darmo!

Austryackie Towarzystwo Aluminiowe, Wiedeń, Wollzeile 18.



Koron 10.40

Nowość! Nowość!

Budzik dzwonkowy z krzyżem.

Nr. 4548 gat. 1-a. wybijający przez 30 godzin godziny i półgodziny z budzikiem do nastawiania z pięknie rzeźbionem pudłem z czarnemi kolumnami, kolorowym cyferblatem i obrazkami świętych, 71 cm wysoki z bardzo donośnym dzwonkiem wieżowym, kompletny z 3 złoconymi ciężarkami dokładnie uregulowany **K. 10·40**
Nr. 4548 1 2 z świecącym w nocy cyferblatem **K. 11.**

Ściśle sumienna 3-letnia gwarancya.
Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Wysyłka wprost do prywatnych odbiorców przez **znaną ze swej rzetelności światową firmę.**

HANNS KONRAD
c. k. nadworny dostawca w Brüx Nr. 2909. (Czechy).

Zażądaj Pan za pośrednictwem karty korespondencyjnej mojego bogato illustrowanego **katalogu głównego z 4000 odbitek,** który natychmiast **darmo i opłatnie wysłany zostanie.**

Pistolet alarmowy

bezpieczny i najpewniejszy **środek alarmowy, ocbr. i odstraszający.**



Zawsze gotowy do strzału. Bardzo głośny huk.

Zastępuje drogą i niebezpieczną broń. **Niezbędny dla kolarzy, turystów, automobilistów, spacerowiczów, ogrodników etc.** Doskonały środek odstraszający i ochronny przeciw napadom i psom. Przy uroczystościach i wycieczkach niewinny żart o wielkim efekcie.

Cena jednego pistoletu z metalu, dobrze wykonanego z 50-cioma nabojami 3 kor.

Na zapas: 100 naboji 3 kor. 200 naboji 5 kor.
Skrzynka dla każdej przesyłki 30 h.

Do sprowadzenia za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez

J. H. RABINOWICZA
WIEDEŃ VII., Lindengasse Nr 2. N.K.

PRZED BOŻEM NARODZENIEM

powinien każdy, którego interesują podarunki gwiazdkowe, zapomocą karty korespondencyjnej zażądać mego bogato illustrowanego, wielki wybór podarunków gwiazdkowych zawierającego katalogu głownego, który każdemu darmo i opł. wysyłam.
c. k. nadworny dostawca
HANNS KONRAD
Brüx Nr. 2959 (Czechy).

Puder kryształowy „Helios“

najlepszy puder teraźniejszości drobna ilość wystarczy do wywołania znakomitego efektu.
Odznacza się tem, że nieszkodliwy i nie zatyka porów skóry. — **Nadaje twarzy wyraz dyskretnej matowei białości.**
Wszędzie do nabycia.
Cena pudełka Kor. 3·—. Krem kryształowy Helios K 1·50. Mydło kryształowe Helios 80 hal.
Wysyła się razem frko za K 5.
Próbki pudru kryształowego Helios wysyła za przesłaniem 50 hal. w markach opłatnie.
Laboratoryum kosmetyczne Apteki Edelmana, Sambor



Radę i pomoc!



wszystkim tym, którzy cierpią na wszelkiego rodzaju **trudności w trawieniu, zgagę, tworzenie się kwasów, obstrukcye, bóle żołądka** i z temi połączone **mdłości,** przynoszą znane zaszczytnie od 30 lat, **prawdziwe**

Brady'ego krople żołądkowe

dawniej zwane kroplami mariacelskiemi.

Należy się wystrzegać przed podobnie brzmiącemi naśladownictwami i falsyfikatami i uwa ać na obok podaną markę ochronną z podpisem: **C. Brady.** Do nabycia w aptekach. Wysyłka na prowincyę przez aptek. **C. Brady. Wiedeń I., Fleischmrakt 2.**
5 flaszek K 5·30, 3 flaszki podwójne K 5·60 franko

Gotowa pościel



z czerwonego inletu, dobrze wypełniona, 1 pierzyna lub 1 piernat 180 cm. długie, 116 cm. szer. K 10·—, 12·—, 15·— i 18·—. 2 m. długie, 140 cm. szer. K 13·—, 15·—, 18·— i 21·—. 1 poduszka 80 cm. długa, 58 cm. szer. K 3·—, 3·50 i 4·—, 90 cm. długa, 70 cm. szer. K 4·50 i 5·50. Wykonuje się także wedle każdej podanej miary, materace włósiane z 3-ch części na 1 łóżko á K 27·—, lepsze á K 33·—.
Wysyła franco za zaliczką od K 10·— wzwyż. Zamiana i zwrot za zwróceniem porta dozwolona.
Benedykt Sachsel, Lobes Nr. 949 koło Pilzna (Czechy).

Najtańsze maszyny do robienia pończoch

w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy
J. F, Nouzàk, Praga (Czechy) **Riegerquai 24/47.**
Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.



NAJIDEALNIEJSZY PODAREK NA GWIAZDKĘ

TRADE MARK — GRAMOFON — głos swego pana

jest prawdziwy

GRAMOFON

zaopatrzony marką ochronną

= aniołek piszący =

Reprodukcya naturalna i zupełnie bez szmeru!
Niezrównana trwałość!

Przy świetnych dźwiękach gramofonu z marką
= aniołek piszący =
mile się spędza dnie świąteczne i długie wieczory zimowe.

Podczas karnawału również niezbędny!
Demonstracya bez przymusu kupna!
Cenniki wysyłam darmo i opłatnie!
Ulgi w spłatach ratalnych!

Jeneralny zastępca
Akc. Tow. Gramofonów w Londynie
JÓZEF WEKSLER

LWÓW Sykstuska 2. tel. 1560.
KRAKÓW Floryańska 25. tel. 1241. filia Grodzka 71.

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

RUDOLF STRATZ.

NOC NA SZCZYTACH

NOWELLA.

Było nas trzech turystów, zebranych przypadkowo w samotnem górskiem schronisku. Deszcz lał potokami i zapadał już zmrok wieczorny w chwili, gdyśmy tu kolejno nadeszli. Nie znaliśmy się wcale, a żaden z nas nie widział dokładnie rysów twarzy drugiego, gdyż znużeni chodzeniem po górach, ułożyliśmy się wszyscy na leżących w kątach matera cach, nie starając się nawet o rozpalenie ogniska. Chcieliśmy przedewszystkiem wyciągnąć znużone członki i odpocząć nieco po karkołomnem wspinaniu się na skaliste szczyty.

Z początku nie próbowaliśmy zawiązywać z sobą rozmowy, powoli jednak ja i bliżej leżący mój towarzysz, wymieniliśmy kilka uwag o pogodzie, a przełamawszy pierwsze lody, zaczęliśmy się nawet układać o wspólną wycieczkę na stromy i niebezpieczny szczyt, do którego droga prowadziła właśnie obok schroniska.

Trzeci nasz towarzysz nie mieszał się wcale do naszej rozmowy i zachowywał się tak milcząco, że moglibyśmy zupełnie zapomnieć o jego obecności, gdyby nie czerwonawy ognik palonego przez niego cygara, który migotał w ciemności nakształt jasnego punktu, tkwiącego w próżni. Wreszcie jeden z nas zapytał go, czyby i on także nie zechciał wziąć udziału w zamierzonej wycieczce, na co nieznajomy odpowiedział niechętnem mruknięciem. Następnie zaś wyjął z ust cygaro i rzekł nizkim, głębokim głosem:

— Nie należy nigdy kusić losu, ani wyzywać bez potrzeby niebezpieczeństwa. Takie zaś wdrapywanie się na szczyty, które natura sama zrobiła niedostępnymi, jest bezmyślnem gwałceniem przyrodzonych praw.

Zaprotestowaliśmy przeciw takiemu ograniczeniu alpejskiego sportu, ale on odparł na to:

— Gdyby zdarzyło się panom przeżyć taką noc, jaką ja spędziłem niegdyś na szczytach w podobnem do tego schronisku, wyrzeklibyście się z pewnością tego rodzaju ambicyi.

— Czy zdarzyło się tam panu co szczególnego? — spytałem.

— Było to, panie, więcej niż szczególne — odrzekł nieznajomy.

Gdy, zaciekawieni temi słowami, prosiliśmy go o ich wytłómaczenie, nie dał się zbyt długo prosić i opowiedział nam, co następuje:

— Przed kilku laty spędziłem z polecenia lekarzy zimę w zawianej śniegami tyrolskiej wiosce. Mieszkałem u proboszcza, który był mi bardzo życzliwy, a ostry górski klimat służył wybornie memu zdrowiu. Wioska owa otoczona była wieńcem lodowych szczytów, które błyszczały w słońcu tysiącem barw, dodając mnóstwo czaru krajobrazowi. W miarę jak mi siły powracały, robiłem coraz dalsze i śmielsze wycieczki i nauczyłem się obchodzić bez przewodnika. Ostatecznym zaś celem marzeń mych i ambicyi był pewien stromy i wysoki szczyt, do którego dostęp był bardzo trudny. Ułożyłem sobie, że dostanę się tam w wigilię nowego roku, następnie zaś przenocuję w leżącem poniżej schronisku i rozpocznę rok nowy w tej malowniczej samotni. Poczciwy mój gospodarz odradzał mi mocno tę awanturniczą wycieczkę, gdyż było to miejsce wsławione już kilku smutnymi wypadkami; widząc jednak, że nie przełamie mego uporu, udzielił mi tysiące wskazówek, odprowadził kawał drogi, a żegnając mnie, przyrzekł, że będzie mnie wypatrywał przy teleskopie i dojrzy mnie zapewne w chwili, gdy stanę na upragnionym szczycie. Odszedł wreszcie i znikł mi zwolna z oczu jako mały czarny punkt, ja zaś zostałem sam, jak tego pragnąłem. Sam wobec śnieżnych gór i szczytów lodowych, oblanych ostrym blaskiem zimowego słońca. Z początku szło mi wybornie, zbliżałem się szybko do celu i doszedłem wkrótce do schroniska, w którem miałem przenocować. — Odpocząwszy w niem krótko i posiliwszy się, wybrałem się dalej, gdyż według moich obliczeń, za dnia jeszcze mogłem stanąć na miejscu. Ale droga okazała się bardzo uciążliwą, co mi tak słusznie przepowiedział poczciwy proboszcz. — Zapadałem nieraz po pas w suchy, sypki śnieg, musiałem okrążać niewygodne przejścia, lub też wyrąbywać sobie schody w twardym lodzie. Wreszcie zrozumiałem, że nie mogę nawet marzyć o dostaniu się dzisiaj na mój szczyt i że należy mi powrócić do schroniska i wybrać się w drogę wczesnym rankiem. Zacząłem się więc cofać. Ale jak się to często zdarza w górach, prócz zapadającego mroku, otoczyła mnie gęsta mleczna mgła, zasnuwając wszystko dokoła jakby puchową zasłoną. — Dość powiedzieć, że wyciągnąwszy przed siebie rękę, zaledwie dostrzegałem zarysy mej dłoni. Trudno było oczywiście oryentować się w tych warunkach. Na szczęście schronisko leżało zaledwie o parę kilometrów i pamiętałem, jak mi się zdawało, wybornie kierunek prowadzącej do niego drogi. Szedłem więc śmiało przed siebie, po to, aby uderzyć prawie nosem o gładką prostopadłą ścianę, poza którą nie było absolutnie żadnego przejścia. Zastanowiłem się chwilę i doszedłem do przekonania, że musiałem zboczyć zbytnio na prawo. Cofnąłem się więc wstecz i próbowałem skierować się na lewo. Tu jednak spotykałem co chwila niespodziewane przeszkody. Zapadłem parę razy powyżej pasa w śnieg, potykałem się co krok o leżące po drodze bryły, a co gorsze, nie umiałem już odnaleźć własnych śladów i straciłem świadomość gdzie, w jakim kierunku, szukać mam mego schroniska. Starałem się przecież nie tracić zimnej krwi. Zdjąłem ciemne okulary, które włożyłem był wpierw dla zabezpieczenia oczu moich przed olśniewającą białością śniegu. Nie były mi już potrzebne, bo słabe już tylko resztki dnia kołatały się wśród białej mgły i wszystko dokoła mnie przybierało szaro popielatą barwę.

Puściłem się po raz trzeci nową pośrednią drogą, ale doszedłem znów do owej prostopadłej ściany, która mi już raz zagrodziła przejście. Zbłądziłem widocznie, a dzień znikał tak szybko, że wkrótce mógłbym już tylko kierować się całkiem na oślep. Była to śmierć prawie pewna. Śmierć samotna wśród pustki lodowej. Wiedziałem, że zdarzało się już nieraz wędrowcom krążyć na jednem miejscu, wśród śnieżnych zamieci i że znajdywano ich nazajutrz zmarzniętych u progu prawie miejscowości, która by im dała przytułek. To samo spotka mnie zapewne, lub gorsza jeszcze śmierć, na dnie głębokiej rozpadliny, do której stoczyć się mogę lada chwila, zeszedłszy z właściwej drogi. Na tę myśl uczułem ucisk w sercu, jakby mi je kto przytłoczył lodowatą dłonią. Wyciągałem rozpaczliwie przed siebie ręce, podczas gdy dokoła mnie przepływały wciąż szare, gęste mgły, jak zgraja złośliwych widziadeł. Nagle ogarnęło mnie silne przeświadczenie, że nie jestem sam, że otacza mnie istotnie chmara niewidzialnych istot, które rozmyślnie wprowadzają mnie w obłęd. Czułem prawie dotykalnie obecność ich i zrozumiałem wówczas żywotność wszystkich bajek i legend powstałych wśród ludów, walczących nieustannie z ponurym żywiołem północnej przyrody. Nie wiedząc co począć, postanowiłem krzyczeć. Małe było prawdopodobieństwo, aby mię kto usłyszał, a jednak kto wie, czy jaka partya turystów nie błądziła, podobnie jak ja, wśród tej złowrogiej mgły.

Hallo! — krzyknąłem z pełnej piersi.

Hallo! — powtórzyłem drugi raz, zdobywając się na możliwie najdonośniejszy dźwięk głosu.

I, o dziwo! najpierw ciszej, potem donośniej, głos jakiś odpowiedział mi podobnem wołaniem. Nie wierzyłem sobie jeszcze, wiedziałem, że głos może być poprostu echem własnego mego wołania, a jednak, gdy odpowiedział mi raz jeszcze, pozostało mi tylko pójść za jego dźwiękiem. Nie miałem zresztą innego wyboru. Zbierając więc ostatki sił, zacząłem iść szybko i naraz — mgła opadła, a przed wzrokiem moim zaczerniał drewniany budynek, oparty o stok skalistej ściany. Było to zapewne schronisko.

Hurra! — zawołałem z szaloną radością. — Jestem ocalony!

I w parę minut stałem już na progu zbawczego przytułku. Nie było to jednak to samo schronisko, w którem odpoczywałem w południe. Mały szałas drewniany, rzucony na pustkowiu, do którego zapewne mało kto zaglądał. Znalazłem w nim jednak ślady pobytu turystów — stół, parę drewnianych ławek, parę sienników rzuconych po kątach. Znalazłem nawet trochę suchych gałęzi, leżących tu zapewne od kilku miesięcy, a mając przy sobie zapałki, rozpaliłem skromny ogień. — Żywności nie miałem z sobą żadnej, gdyż zapasy moje zostawiłem był w dolnem schronisku. Zdjąłem więc tylko wierzchni kożuszek, a oczyściwszy go ze śniegu, podłożyłem go sobie pod głowę i przykryłem się pledem. Miałem więc w każdym razie przyzwoity nocleg, a po tak forsownej wycieczce, sen nie dał długo czekać na siebie. Spałem dość długo, dopóki nie zbudził mnie zmieszany szmer głosów i niejasne poczucie, że prócz mnie kilka jeszcze osób znajduje się w izbie. Doznałem też wrażenia fizycznej błogości, pod wpływem miłego ciepła, przenikającego powietrze.

Wesoły ogień gorzał na palenisku, a na stole, dokoła którego siedziało towarzystwo turystów, płonął błękitnawym ogniem poncz, przyrządzony w żelaznym kociołku. Przypomniałem sobie, że to dziś noc noworoczna. Widocznie ludzie, którzy podobnie jak ja, wybrali się dziś na szczyt lodowy i oczekując dnia, obchodzili wesoło początek nowego roku. Słyszałem dyskretne ich śmiechy, widziałem głowy pochylone nad stołem.

Było to widocznie towarzystwo angielskich turystów. Głową jego był pastor anglikański, z twarzą wygoloną, czerstwą i rumianą, pełen jeszcze humoru i życia, pomimo siwiejących włosów. Obok niego siedziała prawdopodobnie jego córka, młoda i ładna mis angielska, z jasnemi włosami i błyszczącemi oczyma. Śmiała się często, ukazując, przy rozchyleniu świeżych warg, olśnewająco białe ząbki, ręka jej uwięziona była w dłoni siedzącego naprzeciw młodzieńca, przystojnego, barczystego chłopaka, o typie czysto angielskim.

Na stole, obok palącego się ponczu, dostrzegłem resztki spożytych zapasów. Na uboczu siedział przewodnik, góral tyrolski, z krótką czarną brodą i ponuremi oczyma.

Z początku angielskie towarzystwo zachowywało się dość cicho, jakby mając wzgląd na mój sen, potem zdawało się zapominać o mojej obecności i trącało się wesoło szklankami, śmiejąc się coraz głośniej. — Młoda para flirtowała coraz zawzięciej, aż wreszcie młody Anglik powstał z miejsca, a zaszedłszy za krzesło jasnowłosej mis, ukradł jej znienacka całusa. Dziewczyna wyrwała mu się z gniewem, wygrażając białą piąstką, ojciec zaś jej śmiał się do rozpuku, i zamiast ukarać śmiałka, upewniał ją, że niema w tem żadnego grzechu, zupełnie, jakby całus ukradziony został pod drzewkiem gwiazdkowem. — Usprawiedliwiony winowajca uchwycił wtedy parę blaszanych pokrywek, używanych do przykrywania kociołków, a uderzając niemi w takt, wykonywać zaczął rodzaj tryumfalnego tańca, wirując po izbie z wielkim ferworem.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

W poniżej umieszczonej figurze uporządkować w ten sposób litery, aby utworzyły nazwiska czterech polskich autorów i autorek.

		a					i		
		a					i		
a	c	c	c	e	h	i	i	i	i
		k					k		
		k					k		
		k					m		
		k					m		
ń	o	o	p	s	s	w	w	w	w
		y					z		
		z					ż		

Bilety wizytowe.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

I. Mayer Ganz

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Roman St. Jakiemirski

Z liter imiona i nazwiska tych osób ułożyć ich zatrudnienie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Czesi, sęk, czoło, wieś, sito, nawy, to.

Trójkąt magiczny.

Ułożył S. N. Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nam nazwisko najstarszego dziennika.

□ □ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Miejsce greckich igrzysk 3. Rzeka w Polsce. 4 Waga 5 Rzeka we Włoszech. 6. Nazwa jednej z kart 7. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył K. K. Kraków.

Uzupełnić poniżej umieszczone wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą w obu szeregach pionowych zdarzenia, mające wielkie znaczenie w życiu politycznem galicyjskich ludowców.

A — a — ie
R — d — ów
J — d — si
S — a — en
W — r — st
R — m — es
D — o — dy
A — b — ed
L — m — ng
G — i — ka
P — l — ca
W — i — ł.
D — k — st
T — a — a
A — t — k
R — t — y

Zadanie konikowe.

Ułożyła K. Szumańska, Rawa Ruska.

sen	ny h	ko	wia	du	w po	rzą	szu
je	ni	cha	śmiert	po	fał	gdzie	na
róż	m.	do	kiel	nie	ły	lu	ma
z któ	i	ła	zdro	o	tu	dziw	miej-c
łoże	ni	wy	my	pie	d iom	pas	nie
chcie	rych	wy	z cia	bo	wiecz	z	d. ą
ca	swo	a	mieć	mi	ucho	gro	o
drai	liby	z ty	je	mioł	świat	co	a

Zagadka geograficzna.

Ułożył S. N. Lwów.

Podane wyrazy tak uzupełnić, aby rząd pionowy, czytany z góry na dół, podał nam nazwisko kraju, o którym obecnie tyle się mówi i pisze.

— oga
— ana
r — ba
o — al
tr — n
mi — a
mig —
pie —

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Józefa Weyssenhoffa:* **Soból i panna.** Cykl myśliwski.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Czesławie, Borszczów. Włosy wzmocni esencya tataro-chmielowa wcierana w skórę głowy. Do mycia głowy stosować tekież mydło. Są to rzeczy roślinne Centr. Labor Chem.

Do czyszczenia zębów najlepiej używać pastę i proszek „Tymentol“, zaś do odświeżania u-t eliksir „Tymentol“ Centr. Labor. Chem.

M. P., Przemyśl. Siwiejącym włosom koloru ciemnego, przywróci pierwotną barwę woda odżywcza „Juno“ „Cenraln. Laborat. Chem.

J. B. Jednym z nieszkodliwych pudrów i przylegającym dobrze do twarzy jest znany „Delicya“. Mydła proszę używać tylko Centr. Labor. Chem. z Warszawy, tak przetłuszczane jakoteż lecznicze, gdyż są przygotowane pod dozorem lekarskim.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można

we Lwowie, ul. Akademicka L. 21

w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Niespodzianki na św. Mikołaja

przyjęte są w wielu domach.

Jednak często kupujący nie zważają na praktyczność podarków nabytych za drogi pieniądz. Jedynym podarkiem, stanowiącym w domu przyjemną odmianę **jest ulepszony gramofon z marką „Aniołek piszący“.** W chwilach smutku spędza zły humor, rozwesela starych jak młodych, zastępuje muzykę każdego rodzaju, i stał się ten gramofon dzisiaj poniekąd sprzętem niezbędnym w gospodarstwie domowem. Niech więc nikt przy zbliżającym się św. Mikołaju nie ominie sposobności zakupienia **ulepszonego gramofonu z marką „Aniołek piszący“**





u wyłącznego zastępcy
na Galicyę i Bukowinę

Józefa Wekslera

we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej L. 2

W KRAKOWIE

przy ul. Floryańskiej 25 i ul. Grodzkiej 71.

Ogromny wybór płyt na składzie.

Cenniki wysyła się darmo i opłatnie. Ulgi w spłatach ratalnych.

Rok założenia 1900 PIERWSZORZĘDNY Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku

Filia: Lwów, pl. Halicki 7 (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

PIERWSZA GALIC. FABRYKA

Warszawskich Cukrów i Marmolady

A. Sobolewski i Ska

Sp. z ogr. odp.

Kraków Podgórze

poleca znane ze swej dobroci i wykwintnego smaku

KARMELKI twarde, nadziewane i miękkie

Cukry i Marmoladki.

Sprzedaż w pierwszorzędnych handlach.

ICHTIOMENTOL

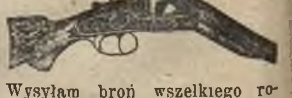
najlepszy środek przeciw reumatyzmowi, podagrze, postrzałowi.

Wszędzie do nabycia.

Cena fl. z op użycia 1 K.

SKŁAD WYSYŁKOWY APTEKA EDELMANA SAMBOR.

Pocztą 5 fl. za 6 K franko.
„ 10 „ „ 10 „ „



Wysyłam broń wszelkiego rodzaju, jak „Hammerlessy“, Drylingi, lankastrówki, floberty, rewolwery, pistolety i t. d. w cenach fabrycznych. Reparacye jak najtaniej. Dla osób zaufania godnych dogodne spłaty. Wysyłam lepszą broń na 8 dni na próbę i do oglądnięcia nie zobowiązując tem do kupna. Ilustr. cenniki darmo. **Fr. Dušek**, fabryka broni **w Opočnie** przy drodze kolei żelaznej Nr. 2062 (Czechy).

Tanie pierze i puch

1 klg. szarego dartego K 2·—, **lepszego** K 2·40, półbiałego I-a 2·80, białego K 4·—, I-a miękk. jak puch K 6·—, **najlepszego I-a** K 7·—, 8·— i 9·60. **Puch** szary K 6·— i 7·—, biały I-a K 10·—. **Puch** z piersi K 12·— od 5 klg. począwszy franko.

GOTOWA POSCIEL

z gęstego, czerwonego, niebiesk. lub białego poszwu, **1 pierzyna** około 180 cm. gług. 120 cm szer. wraz z 2 poduszkami, każda około 80 cm. dług. 60 cm. szer. dostatecznie napełniona, nowem szarem, puszystem i trwałem pierzem K 16·—, półpuchem K 20·—, puchem K 24·—. **Pojedyncze pierzyny** K 10·—, 12·—, 14·— i 16·—. **Pojedyncze poduszki** K 3·—, 3·50 i 4·—. **Pierzyny** wielk. 200×140 cm. K 13·—, 15·—, 18· i 20·—. **Poduszki** wielk. 90×70 cm. K 4·50, 5·—, 5·50. Prześcieradła z najl. płótna gradlowego wielk. 180×116 cm. K 13·— i 15·— przesyła za pobraniem lub za poprzedniem nadesłaniem gotówki.

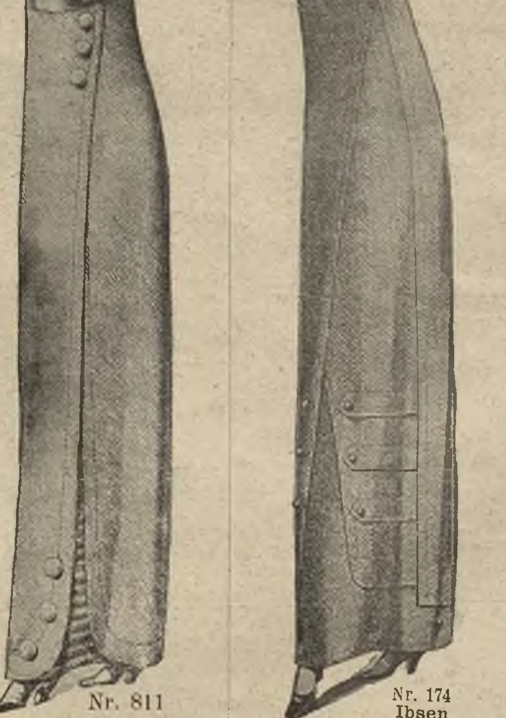
Max Berger, Deschenitz Nr. 406 a, Böhmerwald.

Bez ryzyka, ponieważ wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy Bogato illustr. cenniki wszelkiej pościeli darmo.

L. Tritsch, Wiedeń VII., Neubaugasse 43

najstarszy specyalny dom spódniczek damskich jest najtańszym źródłem kupna w całej Monarchii.

Proszę zażądać illustrowanego cennika darmo i opłatnie!



Nr. 811
Vicki
Wązka spódniczka ze wstawianemi częściami z materyału w paski i przybraniem z guzików od K 9·— wzwyż

Nr. 174
Ibsen
Elegancka spódniczka spacerowa, w najmodniejszym fasonie z czysto wełnianych, angielsk. materyałów: szara, brązowa, zielona od K 10 wzwyż z I-a pervienny w kolorze czarnym, granatowym, lila i fraise Koron 24·—

Wszystkie spódniczki robione są na miarę i **we wszystkich cenach.** — Najnowsze modne fasony. Najrzetelniejsza obsługa.

Szybka wysyłka na prowincyę.

En gros. **En datail.**

Proszę zażądać illustrowanego katalogu darmo i opłatnie!



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 789.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru

Podejmuje się wykonania grobowców w mieście i na prowincyi

ZAKŁAD WODOLECZNICZY

Dra Chramca w Zakopanem

otwarty cały rok.

Nowo wybudowane pawilony urządzone z największym komfortem. — Umieszczenie dla 300 osób. — Pokoje jednoosobowe z utrzymaniem od 8 Kor. wzwyż.

Ważne dla matek!



Czystość głowy „CAPIN“

działa radykalnie na nieczystości wszelkiego rodzaju. Pod gwarancyą nieszkodliwe. Polecane przez lekarzy. — Cena 1 fl. K 1·20. **Dyskretna, wolna od opłaty** przesyłka przez firmę

Ludwik Pollak Wiedeń VII. Seidengasse 43 n.

Najtańszy miniaturowy zegar z kukułką kor. 6·80.



Nr. 4598. Pięknie rzeźbiona szafka z ptaszkiem, z liczbami z kości, i wskazówkami z nawoł. półgodzinnem i całogodz., 32 cm. wysoki, kompletny, o 2 bronzow. wagach w kształcie szyszek, dokładnie regulowany **werk szkocki K 6·80.**

Nr. 4599. Tensam z ptaszkiem **K 7·50, 8·50, 9·80,** z bogato rzeźb. szafką. z nasadą w kształcie ptaszka i wiewiórkami ozdobiona **K 10·50, 14·50.** Zobacz główny katalog! Za każdy zegarek 3-letnia pisemna gwarancya. **Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!** Wysyłka za pobran. lub poprzedn. nadesł. pieniędzy

HANNS KONRAD c. i k. nadw. dost.

w Brüx Nr. 2912 (Czechy).

Bogato ilustr. katalog główny z 4000 rycin darmo i opłatnie.

MAGAZYN Z OBUWIEM

Feliksa Łodzińskiego

2 Kraków, Szewska 2



poleca w najlepszym wyborze obuwia męskie, damskie i dziecinne.

Ceny przystępne!

Dyplomy Honorowe na wyst.: Kraków 1901, Karlsbad 1908, Londyn 1908, Paryż 1908.

W. SZNAJDROWICZ

Kuśnierz

w Krakowie, Rynek Linia A-B L. 45, I. p.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój obficie i jedynie w towary doborowe zaopatrzony skład i pracownię jakoto: Futra damskie, żakiety futrzane, Saka, Boa, Garnitury, Futra męskie spacer. i podróżne, Marynarki, Bekiesze, Czapki futrzane oraz wielki wybór Serdaków i Peleryn.

Zamówienia wykonywują się z celu starannością, jak również wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer i w tym celu magazyn posiada **wielki wybór materyałów** z fabryk krajowych, jak również angielskich.

Lwów :: ul. Halicka 21

Lalki, Zabawki, Nowości

w Galanteryi, Mydła, Perfumerye Tlenu i francuskie poleca

Klinika i ubieralnia lalek we Lwowie.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.